

# FABULA RASA

(rzecz o egoizmie)

**edward stachura**

Pojezierze • Olsztyn 1985

## Nota do czytelnika

Ta książka nie jest do przeczytania. Ta książka jest do odkrycia. Co jest w tej książce do odkrycia? To między innymi, ale przede wszystkim, że każda książka jest zawsze tylko książką; że wszystkie słowa są zawsze tylko słowami, nigdy nie są tym, co - z mniejszym lub większym popisem — usiłują opisać.

Ta książka jest opisem czegoś, co jest. To coś to nieśmiertelnie żywe życie. Możesz to odkryć, jeżeli nie utkniesz na słowach, jeżeli nie zachłysłniesz się słowami, nie zadusisz słowami i nie spoczniesz na słowie jak w trumnie.

Jeżeli zawieruszysz się dalej, poza słowo, poza grób.

Komu w drogę, temu teraz.

- Kim jestem?
- Tyś jest swoim Ja. Tyś nazwiskiem. Podpisem na papierze. Wizytówką na drzwiach, inicjałami na sygnecie, imieniem na kartce kalendarza. Późnym słowem. Suchą sylabą. Martwą literą.
- Niczym więcej?
- Niczym mniej.

- Kim jestem? Inaczej.
  - Jest rzeka. Piękna, nieporównywalna, niepowtarzalna, zawsze nowa a nieprzemijająca. Rzeka życia. Rzeka-życie.
- Na rzece jest most. Arcydziwaczny. Most, który nie wie, skąd wziął się, nie wie też, po co wziął się, nie wie, czym jest, nie wie nad czym, nie wie nic, a wszystko wydaje mu się. Nie widzi ani nawet nie domyśla się płynącej pod nim rzeki życia. Wydaje mu się, że on jest rzeką życia.
- Ty jesteś tym mostem.

- Kim jestem? Jeszcze inaczej.
  - Jest więzienie. W celi jest więzień, na wieży strażniczej jest strażnik. Ci dwaj są jedną osobą. Więzień jest jednocześnie swoim własnym strażnikiem, strażnik jest jednocześnie swoim własnym więźniem. Ale ci dwaj, więzień i strażnik, nie widzą, że każdy z nich jest jednocześnie jednym i drugim. Nie widzą tego, że są jedną osobą, bo są rozdzieleni, a są rozdzieleni, bo nie widzą, że są jedną osobą. Sytuacja isticie arcywięzienna, bezwyjściowa. Bo kiedy nawet od czasu do czasu zdarza się więźniowi uciec z celi i z gmachu więzienia, to ucieka on ze swoim niewidzialnym strażnikiem na karku i w konsekwencji to, co wydawało mu się być wolnością, okazuje się być jedynie inną formą więzienia. Tak samo strażnik wracający po służbie do domu w miasteczku zabiera pod czapkę niewidzialnego więźnia i nocą budzi się spocony i przestraszony, bo śni mu się to, co może śnić się strażnikowi, to mianowicie, że więzień czmychnął z więzienia. I choć mógłby ktoś powiedzieć, że - pomimo wszystko - jeden jest bardziej nieszczęśliwy (więzień), a drugi mniej (strażnik), to nie ma pomiędzy nimi istotnej, jakościowej, prawdziwej różnicy, jako że zarówno jeden, jak i drugi nie są szczęśliwi.
- Ty jesteś tym więźniem i tym strażnikiem, celą i wieżą strażniczą, całym gmachem więzienia i całą tak zwaną wolnością.

- Jak powstał świat?
  - Świat nie powstał. Gdyby powstał, byłoby to poronienie, czyli przedwczesne wydanie na świat martwego płodu.
- Świat nie powstał raz, raz na zawsze. Świat powstaje. Ale to nie jest proces. Świat powstaje codziennie, codziennie na nowo, codziennie całkowicie wręcz na nowo.
- Świat-który-powstał, to świat-który-nie-powstał i to jest właśnie twój świat, z gruntu fałszywy, od samych korzeni. Świat prawdziwy powstaje. Powstanie świata jest wiecznym powstawaniem świata.

- Czy tajemniczy płaskowyż Nazca w Andach peruwiańskich z olbrzymich rozmiarów rysunkami zwierząt i ptaków widocznymi z dużej wysokości był, a może ciągle jest lądowiskiem dla przybyszów z kosmosu?

- Twoje szerokie czoło wraz z zakolami skroniowymi było-jest-będzie lądowiskiem dla przybyszów z kosmosu.

Wszyscy przybysze z kosmosu, którzy lądowali-lądują-lądować będą na tym lądowisku, startowali-startują-startować będą z tego lądowiska.

- Jaka jest największa tajemnica?

- Największa tajemnica jest ta, że nie ma żadnej tajemnicy. W rzeczywistości wszystko jest jawne, wszystko jest jasne, wszystko jest czyste, wszystko jest absolutnie przepięknie przejrzyste.

Oto najpełniejsza odpowiedź na najbardziej puste i próżne pytanie.

- Czym jest samotność?

- Samotność jest prawością. Samotność najpierw jest prawością, potem jest oczywistością. Jest naturalnym odsunięciem się od iluzji. Jest uświadomieniem sobie iluzji i naturalnym odrzuceniem każdej iluzji. Jest staniem oko w oko z czarną dziurą. Jest przerażeniem i wyzwoleniem od przerażenia. Jest tunelem do życia.

Nie zna smaku prawdziwego życia, kto przez tunel samotności się nie przeczołgał. Samotność najpierw jest tunelem do życia, potem jest całą bezgraniczną polaną życia.

Tylko to, co samotne, może prawdziwie istnieć, egzystować, być. Tylko to, co samotne, może być i być zarazem niesamotne. Tylko to, co absolutnie sieroce, może być i być zarazem absolutnie niesieroce, bo jest otwarte na wszystko, bo nie jest w żadnym klanie, rodzinnym uwięzione; jest lotne jak ptak, jest żywe, bo nie jest w żadnym grobowcu rodzinnym zakopane. To dom bez ścian, same okna, i wszystkie otwarte na oścież.

Tylko to, co samotne, a więc prawdziwe, a więc samowystarczalne, a więc nic dla siebie nie potrzebujące jest bezinteresowne, a więc promieniujące miłością, a więc prawdziwie społeczne. Człowiek samotny jest jak woda. Człowiek samotny jest wodą. Woda jest samotna i dlatego jest, i jest społeczna. Woda nie potrzebuje siebie pić i dlatego mogą pić ją wszyscy i wszystko. Człowiek samotny jest drzewem. Drzewo jest samotne i dlatego jest, i jest społeczne, gdziekolwiek jest: czy to w miejskim parku, czy to w wiejskim lesie, czy w otwartym polu, czy na brzegu rzeki, czy na skraju drogi, czy na szczytach górskich:

wszędzie. Także oczywiście splecione korzeniami i gałęziami z drugim samotnym drzewem (ale gdzie, o bezimienne ojczematko absolutnych sierot, gdzie znaleźć drugie, prawdziwie samotne, prawdziwie wolne drzewo?).

To, co samotne, jest społeczne nawet w swoim znikaniu ze społeczności. Bo tylko to, co samotne, może zniknąć, może umrzeć i nikomu się przez to krzywda nie staje. Za tym, co samotne, wypłakiwać oczu nie potrzeba. A jeżeli ktoś wypłakuje oczy, jeżeli ktoś wylewa łzy, to wylewa je nad sobą. Bo nie jest człowiekiem samotnym. Jest człowiekiem osamotnionym, na osamotnienie siebie samego skazującym.



- Czym jest pustynia?
- Wersji odpowiedzi może być kilka, ale odpowiedź jest zawsze jedna. Jedną z wersji odpowiedzi jest, że pustynia to miejsce, gdzie nic nie dzieje się.
- A jeżeli na pustyni żyje człowiek, pustelnik, anachoreta, święty, czy ktoś w tym rodzaju.
- Nic nie dzieje się.
- Ale ten człowiek tam żyje, egzystuje, dzieje się jego egzystencja.
- Egzystencja nie dzieje się. Egzystencja egzystuje, życie żyje. Pustynia kipi od życia, kipi od egzystencji.
- Ale ten człowiek myśli. Myśli, więc jest. Dzieją się jego myśli.
- Myśli, więc nie jest. Myśli, więc nie rozumie. Nie rozumie, czym jest być i czym jest działać się.
- Co zaś tyczy się jego myśli, to niewątpliwie dzieją się.

- Co się zatem musi wydarzyć, żeby się coś zaczęło działać? Poza dziejącymi się myślami tego człowieka.

- Żeby coś zaczęło działać się, musi właśnie coś wydarzyć się. Cokolwiek wydarzy się, to właśnie będzie działaniem się. Cokolwiek będzie działać się, to właśnie będzie wydarzaniem się. Bo wydarzanie się i działanie się - to jest to samo. Trzeba więc zapytać po prostu tak: co musi wydarzyć się, żeby wydarzyło się? Albo: co musi zacząć działać się, żeby zaczęło działać się?
- Tak więc pytam: co musi zacząć działać się, żeby zaczęło działać się?
- Musi pojawić się drugi człowiek.
- I wtedy się dzieje?
- Wtedy dzieje się.
- Co dzieje się?
- Dzieje się to, co dzieje się pomiędzy nimi.
- Czym jest to, co dzieje się pomiędzy nimi?
- Współistnieniem, społeczeństwem, ludzkością, życiem światowym.
- Życie światowe na pustyni to brzmi bardzo oryginalnie, ale nie całkiem poważnie.
- Dla ciebie brzmi nie całkiem poważnie. Dla ciebie zabrzmieć nie całkiem poważnie to, co jest najpoważniejsze, to mianowicie, że prawdziwe życie światowe to tak zwane szare życie codzienne: w domu, na klatce schodowej z sąsiadem, na podwórzu z bawiącymi się tam dziećmi, na ulicy z nieznajomymi, w fabryce z towarzyszami pracy, w sklepie, w autobusie, w pociągu, w drodze.

- Czym jest wolność?
- Wolnością od wyboru. Wolnością od myślenia.
- Wolność jest rozumieniem. Kto rozumie, jest wolny.
- A ten, kto nie rozumie?
- Kto nie rozumie, musi myśleć. Jest katorżnikiem myślenia.

- Czy to ma znaczyć, że rozumienie jest bezmyślnością?  
- Rozumienie jest wyzwoleniem od tego, o czym się nie myśli, bo się to rozumie.  
Bezmyślność zaś nie ma czegoś takiego. Są ludzie mniej myślący i ludzie bardziej myślący, ale bezmyślnych nie ma. Każdy śmiertelnik jest chorobą myślenia zarażony.

- Co znaczy rozumieć?  
- Nie wybielać. Nie oczerniać. Nie koloryzować.  
- Co to znaczy?  
- Nie wymyślać. Nie spekulować. Nie kombinować.  
Być faktem i konstatować fakty.

- Czy ja mogę rozumieć?  
- Tyś jest swoim Ja. Ty nie możesz rozumieć.  
- Kto może rozumieć?  
- Nikt rozumie.  
- Nikt nie może zrozumieć?  
- Nikt rozumie. Człowiek-nikt rozumie.  
- Ale nikt to przecież nie istnieje!  
- Kto może powiedzieć, że nikt nie istnieje? Nikt nie może. Kto może powiedzieć, że nikt istnieje? Nikt może. Człowiek-nikt może.

- Kim jest człowiek-nikt?  
- Człowiek-nikt nie jest kimś. Ja jest kimś. Ja jest zmuszone być kimś. Tyś jest swoim Ja. Ty jesteś kimś.  
Ty jesteś zmuszony być kimś.  
- Kim?  
- Kimś wyróżniającym się, odbijającym, odcinającym się od tłą; kimś osobnym, oddzielnym.  
- Na przykład?  
- Najchętniej księciem udzielnym. Milordem. Personą. Sławnym naukowcem. Wziętym aktorem filmowym. Głośnym muzykiem. Poczytnym pisarzem.  
I tak dalej

- A jeżeli jestem ostatnim z nędzarzy?  
- To jesteś ostatnim z nędzarzy. Jesteś kimś. Ty musisz być kimś. Kimkolwiek, ale zawsze kimś. Dla ciebie, dla Ja, którym jesteś, jest zupełnie tą samą esencją powiedzieć: „jestem ostatnim nędzarzem”, co powiedzieć: „jestem pierwszorzędnym malarzem”.  
Tak w jednym przypadku, jak i w drugim jesteś kimś.  
A to tylko dla ciebie liczy się, to jest twój kapitalny kapitał: być kimś.

Ale najczęściej umiejscawiasz się pośrodku, gdzie najgęściej, gdzie najtłumniej, gdzie najbezpieczniej. I jesteś wtedy kimś pomiędzy. Pomiędzy naj- i naj-. Pomiędzy najlepszym i najgorszym, najwyższym i najniższym, najpierwszym i najostatnim.

- Jeżeli jestem pośrodku, pomiędzy naj- i naj-, to znaczy, że się, wtedy nie wyróżniam.  
- To nie znaczy, że nie wyróżniasz się. Wyróżniasz się. Jesteś zmuszony wyróżniać się. Jesteś katorżnikiem wyróżniania się. W tym przypadku rzecz przedstawia się następująco: ponieważ nie chcesz, bo lękasz się krańcowo wyróżnić się albo nie możesz, bo nie masz po temu kwalifikacji, władzy, talentu, tupetu, bezwstydu i temu podobne - to wyróżniasz się tak zwaną przeciętnością. „Ja jestem człowiek przeciętny, człowiek zwyczajny, człowiek szary” wtedy mówisz, nie bez swoistej zarozumiałości. I swoiste swoje korzyści - z bycia szarym, z bycia przeciętnym - wyciągasz. Na przykład mając uciechę, kiedy zlatują ze świecznika ci, którym nie możesz, jawnie lub skrycie, nie zazdrościć, bo to są ci, którzy wyróżniając się bardziej, sprawiają tym samym, że ty wyróżniasz się mniej. Więc ich, kiedy są na świeczniku, dla swojej przyjemności okłaskujesz, a kiedy z niego zlatują - dla swojej przyjemności zdeptujesz.

- Ale człowiek-nikt. Nie kim jest, lecz czym jest lub co to jest?  
- Człowiek-nikt to człowiek-który-rozumie, człowiek-który-jest-stanem-twórczym, człowiek-czyn, człowiek-trzy, człowiek-tu, człowiek-teraz, człowiek-fakt, człowiek-kwiat, człowiek-ptak, człowiek-słońce, człowiek-in-flagranti, człowiek-radość, człowiek-zadość, człowiek-który-nie-potrzebuje-nic.  
- Bardzo ładnie, bardzo ładnie, ale człowiek, który nic nie potrzebuje, to człowiek martwy. Człowiek żywy, człowiek-żyw zawsze czegoś potrzebuje, i wymyśla cuda, żeby swoje potrzeby zaspokoić. Potrzeba jest motorem życia. Potrzeba jest matką wynalazku.  
- Co się tyczy ostatniego zdania, można tak powiedzieć. Na którymś tam miejscu z rzędu potrzeba jest matką wynalazku. Można to też odwrócić: wynalazek jest matką (czy ojcem) potrzeby. Ale pochylmy się nad tym spokojnie i uważnie, i spróbujmy przypatrzeć się temu z bliska, a może zobaczysz, że potrzeba jest przede wszystkim, na pierwszym miejscu z rzędu, matką potrzasku i może zobaczysz, że ten potrzask jest również wynalazkiem i autorem tego wynalazku. Zobaczyłbyś wtedy, że potrzeba, wynalazek, wynalazca i potrzask - są tym samym, jednym ustrojem, jedną strukturą.  
Posłuchaj. Potrzeba nie może być nigdy do końca zaspokojona, bo „zaspokojona” potrzeba wywleka z siebie kolejne potrzeby niezaspokojone. To jest reakcja łańcuchowa. To jest łańcuch. Coraz dłuższy i coraz pokrętniejszy, i który nie może nigdy się od-łańcuszyć.  
Kto potrzebuje, zawsze będzie potrzebować. Na samym końcu będzie jeszcze potrzebować lekarza, żeby ten przedłużył jego agonię, a kiedy bezsilny cofnie się lekarz, będzie potrzebować, żeby przystąpił doń ksiądz, a kiedy cofnie się ksiądz, będzie potrzebować stolarza, a kiedy cofnie się stolarz, będzie potrzebować grabarza, a kiedy cofnie się grabarz, będzie potrzebować kamieniarza, a kiedy cofnie się kamieniarz, będzie potrzebować łez i żalu potomnych, i oby jak najdłuższego trwania w ich pamięci. A poza tym wszystkim i ponad tym wszystkim będzie potrzebować Boga, żeby go Bóg kiedyś tam, w końcu końców, wskrzesił. Wskrzesił pod tą samą postacią, nieco może zmodyfikowaną, ulepszoną, ale jednak tą samą.



Oto jak myśli, bo nie może inaczej, ten kto potrzebuje. Czyli ty. Bo tyś jest swoim Ja i to ty potrzebujesz. I tylko takiego Boga możesz sobie wyobrazić i tylko takiego uznajesz i adorujesz, który cię wskrzesi pod tą samą postacią. Potrzebujące Ja nie potrzebuje Boga-wskrzesiciela nie Ja. Ja potrzebuje wskrzeszenia Ja. Tylko takiego Boga potrzebuje i tylko po to, tylko w tym celu, tylko w tym interesie z nim handluje: „Ja w ciebie, Boże, wierzę z całych sił; ja do ciebie najżarliwiej modłę się; ja cię miłuję nad własne życie (a ty za to, kiedy umrę, moje życie kiedyś wskrzesisz; będę taki sam, ale inny, ale taki sam, ale dobry piękny czysty i będę żyć cały czas, cały czas, bez trosk, kłopotów, zmartwień cierpień i z dala od tego strasznego padołu)”. Oto jak myśli Ja, bo nie może inaczej. Ale ten Bóg, w którego wierzy Ja, jest tylko przedłużeniem Ja, jego autoprojekcją, w którą Ja wierzy, że jest czymś innym niż Ja. Bóg Ja to jest dalej Ja, to jest Ja idealne, Ja doskonałe, Ja boskie. Ale Ja to konflikt, to nieszczęście, to chaos, to wojna i Ja zdaje sobie niekiedy z tego sprawę i dlatego wymyśla przeciwieństwa w postaci przymiotników: idealny, doskonały, boski. Wystarczy podstawić pod Ja to, czym Ja jest (i z czego sobie niekiedy jednostronnie, częściowo, płytko zdaje sprawę), a więc: konflikt, nieszczęście, chaos, żeby zobaczyć, jak to tragicznie absurdalnie wygląda: konflikt idealny, nieszczęście doskonałe, chaos boski.

Ale Ja tego nie widzi. Nie widzi, że dwa to jeden. Nie widzi, że Ja i nieJa, czyli on i jego Bóg - to jest to samo: mentalność przebijająca się w werbalność i przebijająca się w moralność, i przebijająca się, oczywiście, w niemoralność. Bo to, co mówi o sobie, że jest moralne, jest tak samo niemoralne jak to, co nigdy nie powie o sobie, że jest niemoralne, lecz zawsze o innych.

I tak to Ja handluje z Ja, a przedmiotem, podmiotem targów i przetargów jest, rzecz ciemna, też Ja. Bo czy da się handlować z prawdą, z wiecznością, z rzeczywistym, z nieznanym (nieważne, jak się to nazwie, żadna nazwa tego nie jest tym; każda nazwa, każde słowo jest nieuchronnie literaturą, czyli nie tym)? Z nieznanym, rzecz jasna, nie da się handlować, w nieznanie nie da się wierzyć ani nie wierzyć, nieznanego nie da się wyobrazić sobie ani bać się tego, ani to lubić, ani do tego zbliżać się, ani od tego oddalać się, do nieznanego nie można modlić się ani pisać wierszy, o nieznanym nie da się marzyć, śnić ani w ogóle przylepić do tego jakiegokolwiek myśli.

Co zaś tyczy się człowieka-nikt, to nie jest tak, że jest to człowiek martwy, dlatego że nic nie potrzebuje. Całkowicie wręcz inaczej. Człowiek-nikt to jest właśnie dokładnie człowiek-żyw. On nie potrzebuje potrzeby jako motoru życia. On nie potrzebuje żyć. On żyje.

- Może. Ale żyje sam dla siebie. Jest zamknięty w kokonie własnego życia.

- Mówisz: „żyje sam dla siebie”, ale to jest zwrot, którego nie da się zastosować do człowieka-nikt. To jest zwrot, który daje się zastosować wyłącznie do ciebie.

Mówisz: „jest zamknięty w kokonie własnego życia” i to jest także zwrot, który daje się zastosować tylko i wyłącznie do ciebie. Człowiek-nikt nie ma nic, absolutnie nic, co by uznawał za własne, za swoje. Cokolwiek „ma”, ma to w sposób niewłastry, ma to w sposób niemający. Dlatego śpi spokojnie. Bo się nie lęka utracić tego, czego naprawdę nie ma. Gdyby inaczej, nie byłby tym, czym jest. On nie ma nic własnego. On nie ma nic. On nie ma. On nie. Nie potrzebuje mieć.

Inaczej mówiąc, w człowieku-nikt właściciel jest pozbawiony własności, jest wyzuty z wszelkiego posiadania. A tam gdzie nie ma posiadania, nie ma t i posiadacza. Nie da się być posiadaczem niczego.

- Załóżmy. Ale człowiek, który nic nie potrzebuje, nie potrzebuje również pomocy, czyż nie tak?



- Nie potrzebuje nic.

- Więc dobrze. Więc zapytuję: czy człowiek, który nie potrzebuje pomocy, może jej udzielić drugiemu człowiekowi, który właśnie pomocy potrzebuje?

Zapytuję: żeby udzielić komuś pomocy, czyż nie trzeba w jakiś sposób samemu jej potrzebować, to znaczy rozumieć, czym jest pomoc i rozumieć, że można jej potrzebować?

- Się nie pochwali cię za to, coś przed chwilą powiedział, gdyż nazbyt dobrze się wie, jak bardzo niebezpieczne w konsekwencjach są tego rodzaju praktyki normatywne, jak bardzo pochwała determinuje pochwalonego, jak bardzo go zwodzi, jak bardzo mu szkodzi, jak bardzo odwraca jego uwagę od poznawania siebie. Się będzie w tym względzie uważnym cały czas w ciągu tych rozmów. Ten, co go masz przed sobą, nie da ci cukierków do ssania, gumy do żucia, ciasteczek do ciamkania. Da ci do jedzenia gwoździe, noże, żyłki, roztopiony ołów, monstrualnie wielkie puszki konserw wypełnione po brzegi wszelkiego rodzaju nieczystościami pochodzącymi ze wszystkich cywilizacji wszystkich czasów. Dlaczego? Bo wie dlaczego. Do ciebie należy przełknąć to wszystko lub nie. Jeżeli będziesz słuchać uważnie, możesz to wszystko przełknąć całkowicie bezboleśnie.

Posłuchaj. Kto potrzebuje pomocy, nie rozumie sam siebie i wszystkiego, co za tym kryje się. Nie rozumie zatem również, czym jest pomoc, prawdziwa pomoc, tak jak niewidomy od urodzenia nie może zrozumieć, co znaczy naocznie widzieć. Niewidomy może sobie wyobrazać, jak to jest, ale będzie to zawsze opis widzenia, nigdy bezpośrednie przeżycie. Niewidomy od urodzenia może „widzieć” dotykiem, słuchem, powonieniem, smakiem, ale nie może widzieć oczami. Gdyby choć raz w życiu przejrzał na przeciąg jednej choćby sekundy, to by zrozumiał, co znaczy widzieć oczami i już odtąd, będąc dalej „niewidomy”, rozumiałby to wciąż. W rzeczywistości ten człowiek nie byłby już niewidomy. Naprawdę to nie można wrócić do ślepoty. Nigdy.

- Chwileczkę. Dlaczego ten, kto potrzebuje pomocy, ma być niewidomy od urodzenia? Załóżmy, że jest niewidomy w momencie, kiedy pomocy potrzebuje, ale to nie znaczy, że od urodzenia pomocy potrzebował; to nie znaczy, że nigdy nie widział na oczy, że nie wie, że nie pamięta, jak to jest. kiedy się widzi, czyli kiedy pomocy się nie potrzebuje.

- Kto potrzebuje pomocy, zawsze jej przedtem potrzebował, cały, cały czas, a jedynie sobie tego nie uświadamiał. Gdyby choć raz w życiu na przeciąg nieskończonego ułamka sekundy nie potrzebował pomocy i uświadomił to sobie w pełni, i był stanem-niepotrzebującym-pomocy, nigdy więcej pomocy by nie potrzebował i rozumiałby, czym jest prawdziwa pomoc. Temu, kto sam pomocy potrzebuje, może wydawać się, że rozumie, czym jest prawdziwa pomoc, i na pewno wydaje mu się to, ale naprawdę nie rozumie i to właśnie dlatego, że sam pomocy potrzebuje. Pochylmy się nad tym i przypatrzmy się, co człowiek potrzebujący pomocy rozumie przez pomoc: słowa współczucia, wyrazy solidarności, dobra rada, wszelkie tak zwane moralne wsparcie, pomoc fizyczna, pomoc finansowa, to znaczy pieniężna pożyczka lub pieniężny dar, lub dar w innej najrozmaitszej postaci.

- A czyż to nie jest pomoc? Jak można bardziej pomóc?

- Oczywiście, że to jest pomoc. Ale mówisz też: „Jak można bardziej pomóc?”, co w jakiś sposób świadczy o tym, że zauważasz lub wyczuwasz niewystarczalność tej pomocy. Pytanie twoje dopuszcza możliwość większej pomocy, ale nie dopuszcza, nie przypuszcza, że istnieje inna pomoc, radykalnie inna, fundamentalnie inna. Dopuszczasz: więcej współczucia, więcej solidarności, więcej wysiłku, więcej poświęcenia, więcej darów, ale nie przypuszczasz, że istnieje inna pomoc, co nie jest chwilowa, co nie jest czasowa, ulotna, przelotna, przemijalna. Co jest prawdziwa. Trwała. Niezniszczalna.

- Nie rozumiem. Cóż więc byłoby prawdziwą pomocą udzieloną drugiemu człowiekowi?

- Uwolnienie go raz na zawsze od wszystkich jego lęków i całego cierpienia.

- To niemożliwe. Zgadza się, że byłaby to prawdziwa pomoc, najprawdziwsza, można powiedzieć: wieczne w ramach czasowego życia zbawienie, ale to mit, to utopia, to po prostu niemożliwe. Bo pytam: kto mógłby drugiemu człowiekowi takiej pomocy udzielić?

Kto mógłby mnie takiej pomocy udzielić, żebym ja z kolei mógł udzielić jej drugiemu człowiekowi, a on trzeciemu, a ja już czwartemu, a trzeci już piątemu, a drugi już szóstemu i tak dalej faliście i promieniście. Pytam: kto?

- Nikt. Nikt cię (nie) może uwolnić raz na zawsze od wszystkich twoich lęków i całego cierpienia.

- No więc właśnie. Mówiłem, że to niemożliwe. Cóż to za rewelacja, że nikt nie może mnie uwolnić raz na zawsze od wszystkich moich lęków i całego cierpienia!

Tyle to i ja wiem.

- Otóż posłuchaj. Tyle to ty nie wiesz. Chodzi o to, że właśnie nie wiesz. Nigdy naprawdę do samej głębi i w całej pełni, a raczej w całej próżni sobie tego nie uświadomiłeś. Nigdy nie poszedłeś tą drogą do samego końca.

- Tak... być może... to jest bardzo możliwe, że nigdy nie uświadomiłem sobie tego do samej głębi. A... gdybym sobie to uświadomił, to co?

- Gdybyś to sobie w pełni uświadomił, przestałbyś szukać tanich, wulgarnych lub drogich, wyszukanych, wyrafinowanych pociech, uciech i ukojeń. Przestałbyś zagłuszać się bezustannie i w kółko byle czym i byle wszystkim, przestałbyś miotać się na lewo, na prawo i pośrodku; spróbowałbyś zatrzymać się, spróbowałbyś stanąć nieruchomo oko w oko, twarzą w twarz z całym światem, nie oczekując niczego od kogokolwiek i żadnego z nieba ratunku, i zadać sobie jedno pytanie.

- Jakie pytanie?

- To pytanie: jeżeli nikt i nic nie może mnie uwolnić raz na zawsze, ostatecznie, bezpowrotnie od całego mojego cierpienia i od wszystkich moich lęków, i od lęku przed śmiercią przede wszystkim - to może ja sam mogę od tego wszystkiego uwolnić się? To pytanie. I to pytanie (i wszystko, co się w odpowiedzi na to pytanie kryje) może ci odpowiedzieć człowiek-nikt. I to już należy do prawdziwej pomocy. Pokazać drugiemu człowiekowi, unaocznic mu jasno, prosto i dokładnie, że nikt i nic nie może mu prawdziwie pomóc, to znaczy uwolnić go raz na zawsze od wszystkiego, co go męczy, dręczy, torturuje i - wcześniej czy później - morduje.

Nikt i nic, a więc nie pozostaje nic innego i nikt inny, jak zdać się na samego siebie. Obrócić się do siebie.

Bo wtedy, być może.

Prawdziwie więc pomóc można tylko negatywnie, nie pozytywnie. Pozytywnie można komuś złożyć kondolencje, można podarować Armii Zbawienia milion dolarów, jeżeli było się tak nieuważnym, czyli tak nieżywym, że dopuściło się do zgromadzenia u siebie takiej sumy, która w taki czy owaki sposób musi pochodzić z eksploatacji bliźnich. Pozytywnie można komuś dotrzymać towarzystwa w ciężkiej chwili, ustąpić miejsca w autobusie, przeprowadzić ślepcę przez ruchliwą ulicę, w razie jakiegoś nagłego wypadku udzielić komuś pierwszej pomocy (znając się na rzeczy), zanim nadjedzie pogotowie, ratować ludzi i dobytek w czasie pożaru i sto tysięcy innych rzeczy małych i dużych. I jest oczywiste, że należy tak postępować, w ten naturalny, wręcz organiczny sposób. Współczuć ludziom i dzielić się z nimi wszystkim, co ma się za dużo. A macie tyle rzeczy za dużo! Nie wyobrażasz sobie nawet



ile. Człowiek, który przyłapuje się na tym, że ma w szafie dwadzieścia koszul i który nie rozdaje przynajmniej piętnastu wśród znajomych czy nieznajomych, o których mu wiadomo lub co do których może domyślić się, że są biedni i że mają po jednej koszuli lub po półtorej - jest człowiekiem zgubionym. Tak zgubionym jak nie używana bezcielesna koszula w czeluściach szafy. Ta koszula, jak i jej właściciel służą jedynie do tego, żeby być zjedzeni przez mole. To wszystko jest oczywiste. Rozwodzić się nad tym, to babrać się, to mącić czystą wodę.

Więc jest pomoc pozytywna i jest pomoc negatywna. Nic nie ujmując tej pierwszej trzeba powiedzieć, że ta druga jest prawdziwa, gdyż w intencji swojej wykracza poza czasowość. Pozytywnie może pomóc każdy, oczywiście również każdy człowiek-nikt. Negatywnie natomiast pomóc mogą tylko ludzie-nikt. Wyłącznie oni. I to jest odpowiedź na twoje pytanie, czy człowiek-nikt, który sam pomocy nie potrzebuje, może jej udzielić drugiemu człowiekowi. Człowiek-nikt to jest właśnie człowiek-pomoc, pomoc chodząca, pomoc wędrująca, pomoc promieniująca, rycerz pomocy. Może pomóc i tak i tak, pozytywnie i negatywnie. Może nawet pomóc pozytywnie i negatywnie jednocześnie.

- W jaki sposób?

- Pomagając pozytywnie może jednocześnie wyjaśnić czasowość, a więc przemijalność, ułamkowość, ułomność swojej pomocy pozytywnej i w ogóle wszelkiej pomocy pozytywnej, i dlaczego tak jest. Może wyjaśnić drugiemu człowiekowi, że w wielu wypadkach naprawdę wcale nie potrzebuje on pomocy pozytywnej; spokojnie i precyzyjnie może mu wyjaśnić, pokazać, zdemaskować, zdemontować w nim te ośrodki, które pomocy potrzebują i dlaczego jej potrzebują.

- Dlaczego jej potrzebują?

- Dlatego żeby móc dalej wzywać pomocy i dalej, i dalej, i bez końca. Człowiek-nikt może wytłumaczyć drugiemu człowiekowi, że udzielana tym ośrodkom pomoc pozytywna niczego raz na zawsze nie załatwia, nie wykorzenia problemu, a jest jedynie pojeniem czegoś czego istotą jest nienasyconość, jest nalewaniem wody do beczki bez dna, jest wręcz podlewaniem chwastu, jest gaszeniem niszczycielskiego pożaru oliwą, a więc jest zaognianiem problemu. To wszystko może wyjaśnić człowiek-nikt drugiemu człowiekowi i to wyjaśnienie jest pomocą negatywną udzielaną mu jednocześnie z pomocą pozytywną. Jest wyłączną sprawą drugiego człowieka czy w takich wypadkach zadowolony się on pomocą pozytywną (przynoszącą mu niewątpliwie krótkotrwałą ulgę) i puści grzecznie mimo uszu całą resztę, czy też nie, to znaczy, czy nastawi uszu i uważnie wsłucha się w wyjaśnienia człowieka-nikt. To wyjaśnianie jest też negatywne.

- Co to znaczy wyjaśnianie negatywne?

- To co jest jasne, jest jasne. Jasności nie da się wyjaśnić, wyjaśnić dodatkowo. Jasność jest jasnością i to wszystko. Człowiek-nikt może wyjaśnić mrok, negatywnie wyjaśnić mrok.

- Co to znaczy negatywnie wyjaśnić mrok?

- W nocy lub w pochmurny dzień wszystko jest jednakowo pomazane czernią lub szarością. Kiedy jest słońce i kiedy nie jest przesłonięte chmurami, widać dokładnie blask i cień, widać dokładnie, czym jest jedno i czym jest drugie i gdzie jest jedno, i gdzie jest drugie.

Widać wyraźnie, że tam, gdzie jedno, nie ma drugiego i odwrotnie. Tym słońcem i nieskończonym lazurem nieba obsianym cudownymi białymi obłokami - jest rozumienie. To rozumienie to nie jest kaganiec oświaty. Człowiek rozumiejący nie może go przekazać człowiekowi nierozumiejącemu. To jest rzecz nieprzekazywalna.

- Dlaczego nieprzekazywalna?



- Bo to rozumienie nie istnieje dla człowieka nierozumiejącego. Gdyby dla niego istniało, ten człowiek wiedziałby o tym, a więc byłby tym, byłby rozumieniem, byłby rozumny. Człowiek rozumiejący może przekazać, może pokazać człowiekowi nierozumiejącemu, gdzie rozumienia nie ma, gdzie jest cień, gdzie jest mrok, gdzie są ślepe zauły, błędne koła, labirynty bez wyjścia, gdzie jest samo jądro ciemności.

Człowiek rozumiejący nie może z człowiekiem nierozumiejącym porozumiewać się blaskiem, jasnością, a to dlatego, że człowiek nierozumiejący jest w mroku i tylko w mroku, i jasność w ogóle dla niego nie istnieje. Jasność jest poza obrębem, poza zasięgiem mroku. Człowiek rozumiejący może porozumieć się z człowiekiem nierozumiejącym wyłącznie w świetle tego drugiego, czyli w świetle mroku, czyli w głuchych ciemnościach, czyli w nocy psychologicznej. W tej nocy psychologicznej człowiek rozumiejący, człowiek-nikt, jest tym, czym są księżyc, gwiazdy, planety, komety i wszystko, co jarzy się w nocy natury. W tej nocy psychologicznej negatywne objaśnianie tej nocy polega na tym, żeby pokazać człowiekowi nierozumiejącemu, człowiekowi-Ja, że to, co jest czarne (a co człowiekowi-Ja wydaje się być nie całkiem czarne lub szare, lub wręcz różowe, lub wręcz białe), jest naprawdę czarne. I człowiek-Ja, człowiek-Mrok może to zobaczyć. I to wystarczy.

- Wystarczy, że człowiek nierozumiejący zobaczy mrok, mrok psychologiczny?

- Całkowicie wystarczy. Wystarczy, że zobaczy mrok. Że sam zobaczy. Że w sobie zobaczy. I wtedy, tylko wtedy obejmie go jasność, rzeczywistość, to-co-jest.

Wielkie zdumienie staje się wielkim olśniewającym, cudotwórczym spokojem, a wielki olśniewający, cudotwórczy spokój i solenność stają się prawdziwą twórczością, twórczością począwszy od tego, co nie zostało stworzone, twórczością począwszy od początku.

Tak samo jest z miłością. Żeby stała się miłość, wystarczy zobaczyć, czym miłość nie jest.

- Czym nie jest miłość?

- Miłość nie jest idealna, platoniczna, tragiczna, ślepa, szalona, boska, przyjacielska, rodzicielska, synowska, braterska, małżeńska. Miłość nie jest afektem, emocją, sentymentem. Miłość nie jest brutalnym ani subtelnym, ani jakimkolwiek posiadaniem. Miłość nie jest wulgarną ani wyszukaną przyjemnością. Miłość nie jest czymś, czym można handlować. Miłości nie można sobie zaskarbić ani jej tanio lub drogo, za bajątkową sumę kupić, nabyć na własność i zamknąć pod kluczem. Miłość nie jest czyjaś. Miłość nie nakłada obrączki i nie ściąga obrączki. Miłość nie poślubia ani się nie rozwodzi. Miłość nie włości się po sądach. Miłość się nie procesuje. Miłość nie przysięga i nie krzywoprzysięga. Miłość nie potrzebuje zapewnień o lojalności, wierności, wzajemności. Miłość nie potrzebuje wdzięczności. Miłość nie dzieli się na osobową i bezosobową. Miłość nie jest rozdarciem pomiędzy jednym a drugim ani pomiędzy jednym a wszystkim.

Miłość nie jest wyborem. Miłość nie jest powtarzaniem.

Miłość nie jest nawykiem. Miłość nie jest pamięcią, wspomnieniem, marzeniem. Miłość nie jest fotografią, wizerunkiem, obrazem, rzeźbą, płaskorzeźbą, żadnym przedstawieniem plastycznym. Miłość nie jest myślą.

Miłość nie jest świadomością miłości. Miłość nie jest wyznaniem miłości. Miłość nie jest opisem miłości. Miłość nie jest zaprzeczeniem seksu. Miłość nie jest zaprzeczeniem

niewinności. Miłość nie jest pożądliwością, lubieżnością. Miłość nie jest wstrzemięźliwością, umartwianiem się, ascezą. Miłość nie jest nakazem, rozkazem, zakazem. Miłość nie jest skutkiem przyczyny ani przyczyną skutku. Miłość nie jest zawiścią, zazdrością, mściwością. Miłość nie jest cierpieniem. Miłość nie jest przede wszystkim słowem. Żadnym słowem. Ani tym co na pseudopoczątku, ani tym, co tutaj. Gdyby miłość była słowem, zostałaby zaduszona pod lawiną znaczeń, interpretacji, spekulacji, kombinacji, które - na to słowo zwalają się.

Tak właśnie zduszone, zdławione, zmiażdżone jest słowo miłość. W świecie słów słowo miłość nie znaczy nic. Mówiąc inaczej, znaczy to, co komu podoba się, co kto chce, co komu ślina na język. W świecie słów, czyli w świecie ludzi-słów słowo miłość ocieka posiadaniem, pożądaniem, chciwością tych, co chcą.

Ale miłość, rzecz jasna, nie jest słowem. Miłość jest spontanicznym, bezinteresownym czynieniem miłości, tak, jak słońce jest spontanicznym, bezinteresownym promieniowaniem słoneczności. Słońce jest słońcem w świecie heliosowym, miłość jest słońcem w świecie księżycowym. Słońce jest słońcem w świecie jasności, miłość jest słońcem w świecie ciemności.

- Jaki ma sens cierpienie, jeżeli ma sens?

- Posłuchaj. Gdyby cierpienie nie miało sensu, jedna jedyna łza zalałaby największe piramidy, najbardziej wygórowane panteony, najwyższe w najwyższych górach położone obserwatoria astronomiczne. I prawdziwie ci się mówi: jedna jedyna ludzka łza zalewa to wszystko. Ale nie dlatego, że nie ma ona sensu, lecz dlatego, że ma ona sens, to wszystko zaś prawdziwego sensu nie ma. Bo sens zalewa bezsens. Nie odwrotnie. Patrz, tysiące lat cywilizacji, największe osiągnięcia kulturowe, naukowe, techniczne i tak dalej nie wymazały ludzkiej łzy. Dlaczego? Dlaczego? Po trzykroć: dlaczego? Gdyby mogły ją wymazać, już dawno by ją wymazały. Już dawno. Ale nie wymazały. I prawdziwie ci się mówi: nigdy nie wymażą. Ta łza jest jedynym kamieniem węgielnym, na którym stoi całe królestwo szczęścia człowieka tę łzę roniącego. Ten człowiek może siebie poznać, może poznać, dlaczego płacze i tylko wtedy przestanie płakać. Zapłacze wówczas ostatni raz, ale z niewymownej i nie kończącej się radości.

Cierpienie ma głęboki sens. Cierpienie ma taki sens jak rzeka, co nagle przecina ci w poprzek drogę. Nie ma mostu, nie ma brodu, nie ma promu, nie ma materiału ni narzędzi do zbudowania tratwy. Ty masz dostać się na drugi brzeg, żeby iść dalej. Masz to zrobić, wszak rzeka przecięła ci drogę, zatem twoja droga nie kończy się na tym brzegu, tu nie jest meta, bo wtedy się nie mówiłoby, że rzeka przecięła ci drogę. Więc twoja droga prowadzi przez rzekę i dalej, już po tamtej stronie. Nie możesz zrobić nic innego, jak rzekę przebyć.

- Czy nie ma sposobu na ominięcie rzeki, to znaczy na uniknięcie bezpośredniego kontaktu z wodą? Czy nie mogę iść w bok, w lewo czy w prawo, aż do napotkania mostu lub przewoźnika z łodzią?

- Rzeka przecięła ci drogę. Jeżeli ta rzeka jest na twojej drodze, to znaczy, że ta rzeka jest twoją drogą. Przebycie tej rzeki należy do twojej drogi. Jeżeli wykonasz obrót o dziewięćdziesiąt stopni i pójdziesz w bok, w lewo czy w prawo, to znaczy, że z drogi zbaczasz. Jeżeli obrócisz się na pięcie o sto osiemdziesiąt stopni i ruszysz, to znaczy, że z drogi zawracasz. Jeżeli usiądziesz na brzegu, na tym brzegu i zaczniesz liczyć sekundy, to znaczy, że twoja droga urywa się. Ta droga to droga do życia. Więc albo idziesz do życia, albo nie. Jeżeli tak, musisz rzekę przebyć. Musisz cierpienie przecierpieć. Tylko tak je przekroczysz i zostawisz na zawsze za sobą.



- A jeżeli nie umiem pływać?  
- Gdybyś umiał pływać i może jeszcze jak ryba, jakim cierpieniem byłoby dla ciebie przepłynięcie rzeki? Byłoby to dla ciebie tym samym, co spacerowanie po ziemi, po łące pełnej kwiatów. Gdzie tu wtedy mówić o cierpieniu? Gdzie tu wtedy pytać, czym jest cierpienie i jaki ma sens?

- Więc mam wejść do wody, nie umiejąc pływać?  
- Czy możesz nauczyć się pływać bez wody?  
- Ale przecież mogę się utopić!  
- Utopić się możesz stojąc na brzegu i nie skacząc do wody. I zaiste, wtedy topisz się, wtedy toniesz.  
- Kiedy?  
- Kiedy stoisz na brzegu i nie skaczesz do wody.  
- Nie rozumiem.  
- Kiedy skoczysz naprawdę do wody, oczywiście już nie będzie cię wtedy na brzegu. Już nie będzie: "Ja i woda", nie będzie: "tu i tam", nie będzie: "Ja tu na brzegu - a tam woda". Ciebie już nie będzie. Będzie tylko woda. Kto miałby wtedy utopić się? W wodzie wszystko jest wodą. W ogniu wszystko jest ogniem. W cierpieniu wszystko jest cierpieniem. Wchodząc naprawdę w cierpienie, przestajesz być sobą, stajesz się cierpieniem, stanem cierpienia: wtedy już nie ma z jednej strony cierpienia, a z drugiej strony: "mnie, który cierpię". Jest tylko cierpienie. Ale czy cierpienie istnieje niezależnie, oddzielnie od osoby cierpiącej? Nie istnieje. A więc jeżeli nie ma osoby cierpiącej, to i cierpienia wtedy nie ma.

- Dlaczego z jednej strony jest życie wewnętrzne, a z drugiej strony życie zewnętrzne? I czy mógłby człowiek wewnętrzny i człowiek zewnętrzny być jednym, jak marzył o tym Sokrates?  
- Nie musi o tym marzyć się. Całkowicie wręcz inaczej. Można to zobaczyć. Można to skonstatować.

Człowiek wewnętrzny i człowiek zewnętrzny jest jednym.

To jest fakt. Ale ktoś, kto o tym marzy, nie może tego zobaczyć. Nie może tego skonstatować. Nie może być jednym. Marzeniem swoim tworzy podział i stawia pośrodku wysoki i nie do przebiccia głową i sercem mur.

- Ale ten podział istnieje obiektywnie, Ten mur to jest coś obiektywnego. Widzi się go. Aż słyszy się go.

Raz po raz na niego się nadziewam i obijam, obłutkuje on głowę i serce.

- O tym, co jest obiektywne, ty nie możesz nic powiedzieć. Ty możesz poruszać się wyłącznie w świecie subiektywnym.

- A to dlaczego? Dlaczego mogę poruszać się wyłącznie w świecie subiektywnym?

- Dlatego, że możesz operować jedynie poczynając od centrum, od osi, od ośrodka, wokół którego wszystko się kręci. Tym ośrodkiem, tym środkiem, tym pępkiem świata jesteś oczywiście ty. I tak dla ciebie wszystko jest subiektywne, ponieważ tam, gdzie jest centrum, wszystko jest do tego centrum sprowadzone. Tam, gdzie jest centrum, okrąg nie istnieje; tam, gdzie jest centrum, to centrum jest wszędzie.

- Ależ to jest dokładnie to, co mówił Pascal o Bogu: centrum wszędzie, okrąg nigdzie.



- Wierząc, że mówi o Bogu, mówił o sobie (i o tobie), mówił o Ja. Wierząc, że mówi o obiektywnym, mówił o subiektywnym, z nadzwyczaj rzadko spotykaną precyzją.

Mówiąc inaczej, tam, gdzie jest podmiot, nie ma przedmiotu, nie ma obiektu. Tam, gdzie subiektywność, nie ma obiektywności. I odwrotnie. Obiektywność jest tam, gdzie nie ma centrum. Żadnego centrum. Obiektywność to wolność, równość i braterstwo. Ale te prawdziwe. Tobie nieznane. W świecie obiektywnym podział na życie wewnętrzne i życie zewnętrzne nie istnieje. Nie istnieje ten mur ani żaden inny. Mur istnieje w twoim świecie. Mur pomiędzy tobą a resztą świata. Tyś jest swoim Ja. Istotą twoją, twoją zasadą konstytutywną jest podział. Ty jesteś dzielaczem. Ty wszystko dzielisz, bo każdy podział cię mnoży. Ty podzieliłeś człowieka na wewnętrznego i zewnętrznego, a ludzi na kolory, odcienie, klasy, kasty, klany, stany, narody nie zjednoczone, warstwy, poziomy, tarasy, wyznania, uznania, rozeznanie, orientacje, sekty i co tam jeszcze zostało.

Ty podzieliłeś glob na posiadłości wiejskie, miejskie, podmiejskie, zamorskie, konkwistadorskie, kolonialne, neokolonialne, latyfundia, majątki, posesje, rancza, pola, pólka, poletka, parcele, place i co tam jeszcze zostało, prawie już nic nie zostało, nawet lody Antarktydy poszły pod nóż. Ty wymyśliłeś dwunastomilową strefę tak zwanych wód terytorialnych (wody terytorialne!), żeby ją rozciągnąć do pięćdziesięciu mil, a obecnie już do dwustu i na tym nie poprzestaniecie.

Ty postawiłeś bariery, szlabany, parkany, parawany, słupy, tablice, płoty z kamieni, pali, sztachet, bambusów, kaktusów, drutu zwykłego, drutu kolczastego, drutu elektrycznego, żelazne kurtyny, wszystkie przeszkody pomiędzy człowiekiem i człowiekiem oraz pomiędzy człowiekiem i naturą.

Ty oddzieliłeś złączonych w miłosnym objęciu mężczyznę i kobietę, ty odgrodziłeś ziemię od nieba, ty pomieszałeś języki. Ty wszystko pomieszałeś, pomąciłeś, podzieliłeś.

Życie nawet, podzieliłeś je na życie i śmierć.

- Czy jest jakie życie po śmierci?

- Życie po śmierci jest dla tych, którzy umierają przed śmiercią, którzy umierają za życia.

- Nie rozumiem.

- Nie rozumiesz, ale nie możesz tego powiedzieć.

- Czego?

- Tego, że nie rozumiesz.

- Dlaczego?

- Dlatego że nie wiesz, czego nie rozumiesz, więc jak możesz powiedzieć, że tego nie rozumiesz? Nie możesz tego powiedzieć. Żeby móc powiedzieć, że się czegoś nie rozumie, jest nieodzowne wiedzieć, o co chodzi, jest nieodzowne wiedzieć, w czym rzecz. Ale kiedy się wie, w czym rzecz, to już się tym samym rozumie. Tak więc tak: kiedy się rozumie, można powiedzieć, że się rozumie, kiedy zaś nie rozumie się, nie można nawet powiedzieć, że nie rozumie się. Nie można nic.

Życie po śmierci jest dla tych, którzy umierają przed śmiercią, to znaczy którzy umierają za życia. Albo to jest dla ciebie jasne, albo nie jest; albo to rozumiesz, albo nie. Innych, kompromisowych rozstrzygnięć nie ma. Jeżeli rozumiesz - rozumiesz; jeżeli nie rozumiesz - nie możesz nawet powiedzieć, że nie rozumiesz. Nie możesz powiedzieć, że nie rozumiesz, właśnie dlatego, że nie rozumiesz, że nie wiesz, o co chodzi, że nie wiesz, w czym rzecz.

- Więc co mam powiedzieć?

- A czy trzeba zawsze coś powiedzieć? Czy trzeba zawsze hałasować? Kiedy nie ma się nic do powiedzenia, co można powiedzieć?

- Jakie jest to życie po śmierci, co jest dla tych, którzy umierają przed śmiercią, to znaczy którzy umierają za życia?

- Daremne pytanie, puste, próżne. Żadne pytanie.

Ale ci się odpowie, bo może przez to zdasz sobie sprawę, jak bardzo twoje pytanie jest daremne. Życie po śmierci dla tych, którzy umierają przed śmiercią - to życie wieczne. To wieczność.

- Wieczne trwanie?

- Trwanie jest czasem. Trwanie jest przemijaniem.

Trwanie jest rozkładem. Wieczność nie jest rozkładem.

Nie jest gniciem.

- Czym jest wieczność?

- Dla ciebie wieczność jest czasem. Tyś jest swoim Ja.

Ty poza czas nie sięgasz. Ty z kotła czasu wyjść nie możesz. Dla ciebie wszystko jest czasem. Bo tyś jest czasem, a czas jest tobą. Dla ciebie nawet wieczność, którą przeciwstawiasz czasowi, jest czasem.

- Czyż wieczność nie jest przeciwieństwem czasu?

- Wieczność nie jest przeciwieństwem niczego.

- Więc czym jest?

- Dla ciebie jest przeciwieństwem czasu, więc jest czasem.

- Ale czym jest naprawdę?

- Naprawdę jest tym-co-jest.

- Czym jest to-co-jest?

- Tym, czym jest.

- Ale jakie jest? Jakiego rodzaju?

- Nie jest jakieś. Nie jest jakiegoś rodzaju.

- Więc nijakie?

- Nijakie też jest jakieś.

- Więc nie jest jakieś?

- Nie jest jakieś.

- Nie jest piękne?

- To jest piękno. Nie mówi się o pięknie, że jest piękne, o jasności, że jest jasna, o mądrości, że jest mądra. Nie mówi się o gwieździe, że gwieździsta, o promieniu, że promienny, o liściu, że liściasty, o wodzie że wodnista. Piękno jest pięknem, jasność jasnością, gwiazda gwiazdą, promień promieniem, liść liściem, a woda wodą.

Nawet powiedzieć: woda jest wodą, to powiedzieć za dużo. Nawet powiedzieć: woda, to powiedzieć za dużo. Bo słowo „woda” oczywiście nie jest wodą. To, co prawdziwe, to fakt: woda. Wszystko inne, co jest „o wodzie”, łącznie ze słowem „woda” - jest fałszywe, jest poza wodą. I poza lądem.

- Jednym chociaż słowem, jak można by określić to-co-jest?

- Niewysłowione. Nie da się żadnym słowem tego określić. Każde słowo nieuchronnie jest literaturą. Lepszą czy gorszą, grafomańską czy genialną - tylko literaturą.

Czyli nie tym. Nie da się wyśpiewać najpiękniejszej piosenki.

- Co jest najpiękniejszą piosenką?

- Dlaczego powtarzasz się? Chcesz słów? Oto je masz: najpiękniejsza piosenka to piosenka najpełniejsza i która zarazem nigdy nie jest najpełniejsza, i dlatego jest wieczna, i dlatego nie da się jej wyśpiewać.

Najpiękniejsza piosenka to śpiewająca się za każdym razem inna, nowa, najpełniejsza i najpiękniejsza piosenka, i dlatego nie da się jej zapisać ani na papierze nutowym, ani na taśmie nagraniowej, ani na taśmie pamięciowej. Wszystko co zapisze się, co zarejestruje się, jest już stare, a piosenka jest już młoda.

Nie da się jej wyśpiewać. Da się nią być. I śpiewać. Każda żywa rzecz nią jest. I śpiewa.

Ale to są tylko słowa. Najpiękniejsza piosenka jest bez słów.

- Jeżeli to-co-jest jest wiecznością, a wieczność nie jest trwaniem, to znaczy że to-co-jest nie jest trwaniem.

- To znaczy.

- Więc to-co-jest nie trwa?

- To-co-jest nie trwa. To, co trwa, nie jest trwałe, przemija, więc naprawdę wcale nie jest. To, co nie jest, musi trwać. To-co-jest nie musi trwać, nie musi nic; nie musi nawet być.

To-co-jest jest, ale nie musi być. To-co-jest jest. I to jest wieczność. Wieczność jest. Wieczność nie trwa i dlatego jest, i dlatego jest trwała. Nieprzemijalna.

- Czy teraz jest wieczność?

- Oczywiście.

- A w tej chwili?

- W tej chwili oczywiście nie.

- A teraz?

- Teraz oczywiście jest.

- Więc jak to jest? Czy to jest jednym z atrybutów wieczności, że w jednej chwili jest, a w drugiej chwili nie jest?



- Wieczność nie ma atrybutów. O tym przed chwilą mówiliśmy. Widzisz, jak słuchasz? Słyszysz, jak słuchasz?

W jednej chwili ani w drugiej chwili wieczności nie ma. Chwila to czas. Czas to przeszłość. Teraz to nie chwila, to nie czas, to nie przeszłość. Teraz to wieczność.

I teraz. I teraz. I żadne teraz nie jest skutkiem poprzednich teraz-ów ani przyczyną następnych. Wieczność to wiecznie nowe teraz.

- Czym jest prawda?

- Prawda jest prawdą. Niczym więcej, niczym mniej.

Prawda jest faktem.

- Czy jest jedna prawda, czy więcej prawd?

- Prawda jest jedna i zawsze nowa. Prawda jest żywa. Życie się nieustannie zmienia i wszystko, co żyje w życiu, żyje zawsze po raz pierwszy w życiu. Prawda jest jednorazowa. Prawda się nie powtarza. Prawda jest niepowtarzalna. I uwaga: prawda jest niepowtarzalna i zarazem jest nieprzemijalna.

Oto jak żałośnie wygląda, jak żałośnie brzmi usiłować wyrazić to słowami.

- Czy można poznać prawdę? I jeżeli tak, to jak?

- Prawdę można poznawać. Jak? W biegu, w ruchu.

To znaczy być tym biegiem, być tym ruchem. Ktoś, kto jest tak nieruchomy jak cała nauka, nie może poznawać ruchu. Nieruchome „poznaje” nieruchome.

Z poznawaniem prawdy to nie ma nic wspólnego. Prawda jest zawsze nowa, jest poza czasem, nie da się jej unieruchomić i dlatego nie reaguje na metodę doświadczalną.

Prawdą można być i się poznawać. To poznawanie jest żywe i jest nieskończone.

- Czy prawda jest wieczna?

- Się widzi, się słyszy, że nie chcesz zaniechać daremnych pytań. Daremnych, bo odpowiedzi na te pytania nie mogą do ciebie docierać. Czy prawda jest wieczna? Prawda jest wiecznością.

- I wieczność nie jest przeciwieństwem czasu?

- Wieczność nie jest przeciwieństwem niczego.

- Wynika z tego logicznie, że prawda nie jest także przeciwieństwem kłamstwa.

- Prawda, oczywiście, nie jest przeciwieństwem kłamstwa.

- To co w takim razie jest przeciwieństwem kłamstwa?

- Nic nie jest przeciwieństwem kłamstwa, bo-słowo kłamstwo nic nie oznacza. Czegoś takiego jak kłamstwo w ogóle nie ma. Ani - rzecz jasna - w porządku życia, ani — rzecz ciemna — w chaosie słów.

- Nie ma kłamstwa?

- Nie ma.

- Ludzie nie kłamią?

- Nie kłamią.

- Ale jakżeż to? Ja sam, wyznaję ze wstydem, niejednokrotnie skłamałem.

- Nie skłamałeś. Kłamstwo musiałoby negować fakt.

Prawda jest faktem, Kłamstwo musiałoby zatem negować prawdę. Cóż by to była za prawda, którą można by zanegować! To by nie była prawda. Prawdy nie da się zanegować. Faktu nie da się zanegować.

- Kiedy mówię, że coś było, a tego nie było albo odwrotnie: kiedy mówię, że czegoś nie było, a to było, albo kiedy mówię, że coś było tak, a w rzeczywistości było inaczej - czyż to wszystko nie są kłamstwa?

- To wszystko są wymysły. Tyś jest swoim Ja. Ty wymyślasz. Ty jesteś wymyślaczem. Istotą twoją jest wymysł. Wziąłeś się z tego.

To, co ty nazywasz kłamstwem, jest czymś nieskończenie gorszym, niż to ci się wydaje. Jest brakiem powagi, jest brakiem wrażliwości, jest przejawem lęku, jest stwarzaniem chaosu, więc powiększaniem chaosu panującego, jest prowadzeniem wojny życia codziennego, która przebiera się, wcześniej czy później, w wojnę ogólnoswiatową: totalną masakrę.

Oto czym jest tak zwane kłamstwo i co wielu ludzi poczytuje za rzecz niekiedy wręcz humanitarną.

- Czym jest fakt?

- Fakt jest oczywistością. Fakt jest konstatacją faktu.

- Czy fakt nieskonstatowany jest faktem?

- Nie da się powiedzieć: fakt nieskonstatowany.

Jedno słowo wyklucza drugie.

- Co to znaczy, że faktu nie da się zanegować?

- Jest fakt. Na przykład drzewo. Drzewo można nazwać: dąb, lipa, sosna, brzoza; drzewo można narysować, namalować, nawet wyrzeźbić (co jest już jawną perwersją), o drzewie można napisać wiersz, drzewo można sfotografować, można zmierzyć jego wysokość, obwód pnia, można ustalić jego tak zwany wiek (drzewo oczywiście wieku nie ma); wokół drzewa można biegać, pod drzewem można się zdrzemnąć lub schronić przed deszczem (w czasie burzy z piorunami lepiej nie), na drzewo można wejść, z drzewa zejść lub spaść — ale to wszystko nie neguje ani nawet nie dotyczy faktu: drzewo. Już przede wszystkim nazwa „drzewo” nie dotyczy faktu: drzewo. To ostatnie jest tym, co ktoś tam, gdzieś tam, nazywa początkiem. Ale to oczywiście nie jest początkiem. Bóg nazewnictwa, Bóg-Słowo nazywa się tam Bogiem stworzenia. Ale, oczywiście, ani to Bóg, ani to tworzenie. To jest tylko nazywanie.

Wracając do drzewa można powiedzieć patrząc na nie, że tego drzewa nie ma, że to jakiś sens albo iluzja zmysłów, ale ten wymysł, oczywiście, również nie neguje ani nawet nie dotyczy faktu: drzewo.

- A jeżeli naprawdę nie ma drzewa, to znaczy jeżeli to drzewo się zetnie?

- Wtedy jest pień. A jeżeli wykopie się pień, wtedy jest dziura. Ten, kto drzewo ściał lub kazał ściać, może tego żałować, może uznać, że była to akcja pochopna lub wręcz zupełnie niepotrzebna, ale te dywagacje nie postawią na nogi ściętego drzewa, nie przywrócą faktu, nie odtworzą faktu, bo fakt jak życie jest nieodtworzalny, nieodwracalny, niepowtarzalny. I zarazem, o, cudowności, nieprzemijalny!

Można posadzić w miejsce ściętego drzewa drugie drzewo. Wtedy to drugie drzewo będzie faktem. Ale dopóki tego nie zrobi się, faktem jest dziura. I to nie dziura po ściętym drzewie ani dziura dla posadzenia drugiego drzewa, lecz po prostu i całkowicie, w całej pełni: dziura.

Są chmury. Ktoś patrzący wzwyż może stwierdzić: są chmury. Chmury odpłynęły. Wtedy może powiedzieć, że nie ma chmur, ale nie może stwierdzić: nie ma chmur. Ktoś drugi, kto nie widział, jak te chmury odpłynęły i kto spogląda w tym momencie w górę, też może powiedzieć, że nie ma chmur (bo widział kiedyś chmury, jest w nim ten obraz, ten widok; gdyby tego widoku w nim nie było, nie mógłby nawet powiedzieć, że nie ma chmur), ale tak jeden, jak i drugi stwierdzić mogą tylko fakt: jest czyste niebo. Nie da się stwierdzić braku faktu. Fakt da się tylko stwierdzić. Aż stwierdzić.

Fakt jest konstatacją faktu. Jest końcem myślenia. Jest rozwianiem się myśli. Jest rozumieniem.

- I ja, podobno, nie mogę zrozumieć?

- Tyś jest swoim Ja. Tylko tym i całkowicie tym, i dopóki będziesz całkowicie tylko tym, dopóty nie możesz rozumieć.

- Dlaczego? Czy tak ciężko jest zrozumieć, że nie mogę temu podołać? Jestem na to za słaby?

- Jesteś na to za silny. Jesteś siłą. Jesteś wysiłkiem.

Każda twoja manifestacja to wysiłek. Wysiłek i rozumienie wzajemnie wykluczają się. Rozumienie nie ma absolutnie nic wspólnego z najdrobniejszym wysiłkiem. Rozumienie przychodzi samo tam, gdzie nie ma wysiłku, gdzie wysiłek skończył się. Ale rozumienie nie jest wynikiem wysiłku, skutkiem wysiłku, tak zwanym uwieńczeniem wysiłku. To nie jest żadna czyjaś zasługa. I to nie jest zrozumienie, jak ty to określasz. To jest rozumienie. To nie jest jednorazowa iluminacja, to nie jest zobaczyć Boga raz (z tyłu, czy z przodu, czy z profilu) i z wrażenia umrzeć dla życia tu, „na padole”. To nie jest zrozumieć raz. To jest rozumieć coraz i coraz to od nowa, od teraz do teraz przez całe teraz. Rozumie się, stwierdzając, konstatując, w pełni widząc coraz to nowy fakt.

Ty nie możesz rozumieć, bo ty nie możesz spojrzeć na fakt w całej jego nieporównywalnej nagości, bo to by znaczyło, że ciebie wtedy nie ma; to by równało się twojemu zniknięciu.

- Jak to?

- Spojrzeć na fakt, znaczy przeżyć fakt, znaczy być faktem, znaczy być nieporównywalnie nagim, znaczy być nagością, znaczy nie być strojem. Albo jest nagość, albo jest strój. Albo jest fakt, albo jest Ja, czyli ty, bo tyś jest swoim Ja. Kiedy jest fakt, ciebie nie ma. Kiedy ty jesteś, nie ma faktu.

- Jakżeż nie ma faktu, kiedy ja jestem? Ja jestem, więc już jest fakt.

- Ty nie jesteś faktem. Fakt to jest coś, czego nie da się zakontestować, czego nie można zanegować.



- Czy to ma znaczyć, że mnie można zanegować?  
- To ma znaczyć.  
- Kto mnie może zanegować? Inny człowiek?  
- Drugi człowiek-Ja nie może zanegować cię. Drugi człowiek-Ja może uśmiercić cię. Dobrowolnie lub złowolnie, wolnostrzelnie lub szybkostrzelnie. Albo ty jego. Tym głównie zajmujecie się. Ale nawet zabijając siebie, nie negujecie siebie.  
- Więc kto mnie może zanegować? Człowiek-nikt?  
- Człowiek-nikt cię zna (bo poznał siebie), ale nie może zanegować cię. Mówiąc dokładnie, w ostatnim, ostatecznym etapie tego przedsięwzięcia człowiek-nikt już nie uczestniczy. Zrobiwszy wszystko, co może zrobić (a może wszystko), wraca do prawdziwego życia.

- Więc jeżeli nie może mnie zanegować drugi człowiek-Ja ani nawet człowiek-nikt, to znaczy że nie można mnie zanegować. To znaczy, że jednak jestem faktem.  
- Nie jesteś faktem. Jest ktoś, kto może zanegować cię.  
- Kto?  
- Jest taki ktoś. Poza nim zresztą (nie) stoi nikt.  
- Bóg?  
- Twój Bóg to ty. O tym już mówiliśmy. Prosto, jasno i dokładnie.  
- Zupełnie nie widzę, kto by to mógł być.  
- Bo widzisz tylko siebie, zawsze tylko siebie.  
Również w tej chwili widzisz tylko siebie, choć wygląda, że rozglądasz się, że usilnie patrzysz poza sobą, szukając, kim mógłby być ten ktoś, kto by mógł zanegować cię.  
- Nie wiem, o co chodzi. Nie wiem, w czym rzecz.  
- Widzisz tylko siebie w tym sensie, że nie chcesz zobaczyć, że tym kimś, kto może zanegować cię, jesteś ty sam.  
- Ja sam?  
- Ty sam.  
- Ja sam miałbym zanegować się? Nawet jeżeli to możliwe, to dlaczego miałbym to zrobić?  
- Bo nie ma dla ciebie absolutnie nic lepszego do roboty. Jest to jedyna prawdziwie piękna rzecz, jaką może zrobić człowiek-Ja. Jest to pierwsza i ostatnia praca tego Herkulesa, którym jesteś. Przed tą rzeczą wszystko jest mniej lub bardziej piekłem. Po tej rzeczy wszystko jest cudownym tchnieniem i wytchnieniem.  
- Ale ja nie chcę zanegować się.  
- Oczywiście. Tyś jest swoim Ja. Tyś jest Ja, którym jesteś. Ty zawsze chcesz.  
- Mówię, że nie chcę, a nie, że chcę.  
- Chcieć, a nie chcieć to jest to samo. Nie chcieć, znaczy chcieć nie chcieć. Chcieć czy nie chcieć, znaczy zawsze chcieć. Ty zawsze chcesz. Zawsze.

- Co znaczy chcieć?  
- Chcieć, że się tak wyrazi się, to najgorsza rzecz, jaką można chcieć. Chcieć, znaczy zawsze coś chcieć. Niekiedy prawie nic, ale to jest zawsze coś. Chcieć, znaczy zawsze coś chcieć mieć. Łaknąć. Pożądać. Żeby posiadać. Żeby być posiadaczem: ludzi, przedmiotów, ruchomości, nieruchomości, pieniędzy, talentu, sławy, podziwu od ludzi, podziwu do ludzi,

pamięci, zapomnienia, wiedzy, myśli, uczuć, pragnień, nadziei, wierzeń, wrażeń, wyobrażeń i co tam jeszcze zostało w spisie inwentarza, który jest listą bez końca. Posiadając nakładasz sobie pęta, zakuwasz się w dyby, niewolisz się, stajesz się niewolnikiem tego, co posiadasz. Z posiadania nieuchronnie wynika lęk przed utratą tego, co posiada się. Wynika z tego, że to co posiadasz, to przede wszystkim lęk. Lęk to chaos, to ślepotą, to ból, to nieszczęście. Chcieć zatem, znaczy zawsze w efekcie chcieć nieszczęścia.

- A chcieć żyć?
  - Chcieć żyć też znaczy w efekcie chcieć nieszczęścia.
  - Jakże to?
  - Chcieć żyć, znaczy w efekcie chcieć umrzeć.
  - Więc nie chcieć żyć?
  - To jest przecież to samo. Chcieć żyć, czy nie chcieć żyć, znaczy w efekcie chcieć umrzeć.
  - To co pozostaje? To straszne. To przerażające.
  - Straszne jest chcieć, chcieć mieć, chcieć posiadać.
- Ktokolwiek posiada, cokolwiek posiada — posiada nieszczęście. Dlaczego? Bo nie tylko może utracić, ale musi utracić to, co posiada. Dlaczego musi? Bo dane mu zostało całe cielesne życie na to, żeby zrozumieć, że nie musiał sobie niczego przywłaszczać. Dochodząc do końca nieskończonego spisu inwentarza, kto posiada siebie - utraci siebie {kto siebie nie posiada, kto umarł przed śmiercią - nie może siebie utracić}. Oto co znaczy posiadać. Oto co znaczy mieć. Oto co znaczy chcieć.
- Co zaś tyczy się tego, co pozostaje, to nie jest to w żadnym razie straszne, w żadnym razie przerażające.
- Co pozostaje?
  - Pozostaje wszystko. Całe bezgraniczne szczęście.
- Pozostaje żyć. Po prostu i cudownie: żyć. Nie: chcieć żyć, lecz: żyć. Jeżeli ktoś chce żyć, to znaczy, że chce żyć, a to znaczy, że nie żyje. On nie żyje. On chce żyć.
- Kto chce żyć, boi się własnego cienia. Boi się wszystkiego.
- Życie w lęku nie jest życiem. Prawdziwe życie i lęk nie chodzą pod rękę jedną drogą pod tym samym niebem, gwizdząc tę samą piosenkę, Żyć to po prostu żyć, ani chcąc, ani nie chcąc. Prawdziwie żyć to żyć i nawet nie nazywać tego życiem. Bo po co? Czy życie potrzebuje siebie nazywać życiem? I czy życie chce żyć? Życie ani chce żyć, ani nie chce. Życie żyje.

Chcieć to najgorsza rzecz, jaką można chcieć. Chcieć, znaczy wymyślać odległość.

- Powiedziałbym: pokonywać odległość.
  - Nie wymyśla się odległości bez powodu, bez celu.
- Wymyśla się odległość, żeby ją pokonać. Pokonywanie odległości jest tylko skutkiem wymyślenia odległości.
- Przyczyna to sfabrykowanie dystansu, sfabrykowanie odległości. Odległość sfabrykowana, trzeba ją pokonać, wszak po to ją sfabrykowało się. Pokonać dystans to najpierw sfabrykować dystans.

- Upierałbym się, że jednak pokonywać dystans. Bo dystansów nie wymyśla się, dystanse są, niezależnie od tego, czy chce się je pokonać, czy nie chce się, to znaczy czy chce się nie chcieć ich pokonać.
- Dystansów nie ma. Dystans fabrykujesz, kiedy chcesz. I tym większy, im więcej chcesz.

- Czyżby nie było dystansu pomiędzy na przykład Ziemią a Księżycem? Przykład jest może trochę śmieszny...

- Nie ma śmiesznych przykładów. Każdy przykład jest dobry, jeżeli tylko jest to przykład. Posłuchaj. Nie ma dystansu pomiędzy Ziemią a „najdalszym”, „najodleglejszym” zakątkiem wszechświata. Dystans fabrykujesz, chcąc. Chcąc tam dostać się. Statkiem kosmicznym, myślą, wyobraźnią nadzieją lub wiarą, że jest tam raj, który dla ciebie nie oznacza nic innego, jak niezmiennie, „wieczne” trwanie w rajskim komforcie.

Dla ludzi-nikt, dla których nie istnieje problem: chcieć nie chcieć — nie istnieje też dystans. Istnieje dla nich niewypowiedzianie bezgraniczna i bezgranicznie niewypowiedziana otwarta przestrzeń, tak wielka, że cały dostępny twojej wyobraźni wszechświat jest przy niej ziarenkiem maku (dokładnie ziarenkiem maku) i w tej otwartej przestrzeni, w tym niezmiernym wymiarze: żadnych odległości, żadnego dystansu. Nieskończenie cudne, nieskończenie schludne, nieskończenie wolne pole. To tu się sieje zboża, kwiaty, drzewa, góry, doliny, rzeki, jeziora, morza, całą ziemię i niebo, wszystkie stworzenia, wszystkie cudowności. Ale zostawmy to, co (nie) dotyczy nikogo.

Chcieć to najgorsza rzecz, jaką można chcieć.

I - jeżeli o to idzie - nigdy za dużo o tym mówić. Do końca czasów.

Ale chcieć jest też najłatwiejsze do zaobserwowania, do odczytania, do zdemaskowania, bo z tym masz do czynienia na każdym kroku. Wystarczy, żebyś zwrócił uwagę na to, czym jest chcieć. I wystarczy, żebyś to zobaczył. Zobaczywszy czym jest chcieć, zobaczysz wszystko, co możesz zobaczyć. I to wystarczy. Ale uwaga: nie chodzi o to, żebyś przestał chcieć, żebyś powstrzymywał się od chcenia, od chęci chcenia. Nie chodzi o to, żebyś dusił, dławił w sobie chcieć. Dławić w sobie chcieć to jest oczywiście też chcieć, to jest chcieć zdławić chcieć. Więc uwaga.

Się powie o tym wolniutko, a ty tylko słuchaj. Nie potakuj, nie zaprzeczaj; nie mów zbyt szybko, na głos lub w myśli: „zgadzam się z tym”, a jeżeli już to mówisz, zauważ, że mówisz: „zgadzam się z sobą”; nie mów zbyt szybko: „nie zgadzam się z tym, protestuję”, a jeżeli już mówisz, zauważ, że mówisz jeszcze raz: „zgadzam się z sobą”. Gdyż „tak” i „nie” są tym samym, prowadzają się do tego samego centrum, którym jest Ja, którym jesteś ty. Mówić komuś „tak”, to mówić sobie „tak”; mówić komuś „nie”, to jeszcze raz mówić sobie „tak”. Tak to jest.

Posłuchaj. Najsamprzód zauważ, że chcesz, że coś chcesz. Może to być coś, co uznajesz za bardzo ważne, za rzecz dla ciebie wręcz niezbędną lub coś, co uznajesz za mało ważne, za nieomal nic nie znaczący drobiazg (niemniej, zauważ, chcesz go). Po czym pochyl się - dogłębnie, ale swobodnie, luźno - nad tym czego chcesz i zapytaj siebie: dlaczego tego chcę? Szukasz odpowiedzi (w sobie oczywiście, nie poza sobą), odkrywasz ją i odpowiadasz sobie: chcę tego, dlatego że to i to. Nie zatrzymujesz się, nie poprzestajesz na tej odpowiedzi, lecz



pytasz dalej: dlaczego chcę tego i tego? Szukasz w sobie, odkrywasz (zawsze odkryjesz, jeżeli wnikliwie w sobie rozejrzysz się) i odpowiadasz sobie: chcę tego i tego, dlatego że to i tamto. Pytasz dalej: dlaczego chcę tego i tamtego? Szukasz, odkrywasz, odpowiadasz: chcę tego i tamtego, dlatego że tamto i tamto. To szukanie nie jest szukaniem, żeby za wszelką cenę znaleźć odpowiedź na pytanie, bo wtedy nie jesteś swobodny, nie jesteś rozluźniony, jesteś skrzepowany, zablokowany właśnie chęcią znalezienia odpowiedzi. To szukanie to pochylenie się nad sobą i w sobie: dogłębne i zarazem luźne, naturalne. To szukanie to po prostu bycie uważnym, nic więcej. Więc pytasz, jesteś uważny, to znaczy pozostajesz uważny (gdyż już postawić pytanie to być uważnym), odkrywasz i to odkrycie jest odpowiedzią na pytanie.

Więc jesteś uważny. Więc nie taisz przed sobą motywów, które powodują twoim chceniem, ujawniasz je sobie, wyciągasz na poświatę księżycą, zdzierasz z nich kostium, przebranie, demaskujesz je, do cna, do dna i wszystkie, choćbyś odkrywał, że te motywy - ujawnione, odkryte, nagie - nie są wcale piękne, lecz raczej bardzo niepiękne, żalosne, okrutne, wręcz odrażające w swoim samolubstwie. Bo jeżeli czegoś nie ujawnisz, jeżeli coś przed sobą zataisz, wtedy cała rzecz na nic, wtedy to jest zabawa z samym sobą w chowanego, to gra, to niepoważne. Życie to rzecz poważna. Albo powaga, albo niepowaga. Albo życie, albo gra (gra w życie, a także gra o życie, to też jest gra, to nie jest życie). Tak to jest. To nie jest tak, jak ty chcesz.

Co zaś tyczy się tego, czego chcesz, pytasz: co? jak? dlaczego? po co? i jeszcze raz: po co? i jeszcze: po co? i: po co? Z pasją i bez końca (pozornie bez końca). I zobaczysz. Zdziwisz się. Niepomierne zdziwisz się. Cudotwórczo zdziwisz się.

Ale ty nie słuchasz. Się widzi, że nie słuchasz. Myślisz, diabli wiedzą o czym, i oczywiście nie możesz wtedy słuchać. Kiedy myślisz, nie słuchasz.

- Bo wolałbym, żebyśmy może wrócili do faktu. Nie mogę pojąć, że nie jestem faktem. To mnie... nie wiem.

Więc jeżeli to możliwe, chciałbym coś jeszcze o tym usłyszeć.

- Wolałbyś - nie wolałbyś, życzyłbyś sobie - nie życzyłbyś sobie, chciałbyś - nie chciałbyś, lubisz - nie lubisz, tak - nie, ciągle to samo. Cóż za monotonia!

Pragnienie i pragnienie. Cóż za więzienie! To cały twój świat. Uświadom to sobie wreszcie.

Tak mówisz, jakbyś doskonale wiedział, czym jest fakt i jakby bardzo martwiło cię to, że nim nie jesteś. A przecież nie wiesz, czym jest fakt. I na razie nie możesz wiedzieć. Fakt jest konstatacją faktu. Przede wszystkim konstatacją siebie jako faktu. Nie wiesz, kim jesteś, więc jak możesz skonstatować, kim jesteś?

- Jestem istotą ludzką. Jestem człowiekiem.

- Jesteś człowiek-Ja, ale to ci dalej nic nie wyjaśnia.

Nie wiesz, co znaczy człowiek, nie wiesz co znaczy Ja, więc oświadczając, że jesteś człowiek-Ja, dalej nic nie wiesz. To określenie nic ci naprawdę o tobie nie mówi.

I tak ze wszystkim. Dopóki nie będziesz wiedzieć, kim jesteś, nic nie będziesz wiedzieć. Nazwiesz jakieś drzewo sosną, ale - nie wiedząc, czym jest drzewo - nazwa sosna nic ci nie powie. Powiesz, że wzór chemiczny wody jest H<sub>2</sub>O, ale dalej nic o wodzie nie wiesz.

- Dlaczego?

- Dlatego, że wzór H<sub>2</sub>O nie wyjaśnia, czym naprawdę jest woda.

- Dlaczego?

- Dlatego, że wzór H<sub>2</sub>O nic ci nie wyjaśnia, kim ty jesteś. Tak samo nazwa sosna nic ci prawdziwego o tobie nie mówi i dlatego nic też nie mówi o drzewie nazywanym drzewem i nazywanym sosną. Drzewo sosna jest faktem, ale nazwa „drzewo sosna” nie jest nim.

Woda jest faktem, wzór H<sub>2</sub>O nie jest nim.

- Dlaczego wzór H<sub>2</sub>O nie jest faktem?

- Dlatego, że wzór H<sub>2</sub>O pochodzi od ciebie, pochodzi od czegoś, co nie jest faktem, więc jak mógłby być faktem?

Woda zaś nie pochodzi od ciebie.

- Woda pochodzi od faktu?

- Woda pochodzi, woda wywodzi się od faktu i dlatego jest faktem.

- Jeżeli fakt jest stwierdzeniem faktu, to jak woda może stwierdzić, że jest wodą? Jak drzewo może stwierdzić, że jest drzewem?

- Ani woda, ani drzewo nie muszą stwierdzać, że są faktami. Bo nimi są. Tak samo ty, gdybyś był, gdybyś mógł być faktem, nie musiałbyś tego stwierdzać. Gdybyś wiedział, kim jesteś, gdybyś rozumiał, kim jesteś, gdybyś siebie znał, po co miałbyś się stwierdzać, potwierdzać, zatwierdzać? Fakt jest faktem, to wszystko. Ale tobie powiedzieć wszystko to tyle, co nie powiedzieć nic. Więc się mówi: fakt jest stwierdzeniem faktu. Ale następuje twoja uwaga, że jak woda i drzewo mogą stwierdzić, że są faktami - i zdanie „fakt jest stwierdzeniem faktu” rozłazi się. Bo są to tylko słowa (cały czas ci się mówi, żebyś miał to na uwadze), jest to tylko zdanie z jakąś tam swoją skalą rozciągłości. Rozciągnięte mocniej, oczywiście, pęka. Jak szelka u spodni. Więc się teraz musi powiedzieć: fakt jest milczącym, niemym, cichym, doskonałym stwierdzeniem faktu. Kiedy mówi się i mówi, nie przestając mówić, nie dochodząc do kończącego dyskusję, zamykającego usta zbawiennego paradoksu - musi mówić się w sposób coraz bardziej zawily. Nauka nie może powiedzieć nic innego nad to, że życie zmierza od struktur prostych do coraz bardziej skomplikowanych. Rurki w laboratoriach chemicznych i alchemicznych nie mogą się prostować, muszą się coraz bardziej wyginać, zaginać, przeginać. Spróbuj znaleźć naukowca, który ci powie (i który będzie wiedzieć, co mówi): „Wie pan, te rurki, my jeszcze je trochę powyginamy, ale potem je wyprostujemy i już nigdy więcej nie będziemy ich wyginać”.

Fakt jest faktem, to wszystko. To jest wszystko. Kiedy jest fakt, nie ma czegoś więcej, bo nie trzeba czegoś więcej, bo nie może być czegoś więcej. Bo fakt to jest wszystko. Jest tylko fakt. Jest aż fakt. Na przykład woda. I już nawet nie da się powiedzieć, że wzór H<sub>2</sub>O nie jest faktem, choć oczywiście nie jest nim. Jest tylko fakt, jest aż fakt i nawet kropka po tym jest czymś za dużo.

Z faktem jest tak samo jak z mądrością. To nie jest porównanie, choć się użyło tu słówka „jak”. Jest tylko mądrość. Kiedy nie ma mądrości, nie da się powiedzieć, że jest głupota, ciemnota, ignorancja, bo można o tym wiedzieć jedynie poprzez mądrość, a jeżeli tej mądrości właśnie nie ma, to w jaki sposób można dowiedzieć się, że jest głupota? Nie sposób. Jest tylko mądrość. Kiedy nie ma mądrości, nie da się nawet powiedzieć, że jest brak mądrości, że nie ma mądrości, bo o czymś czego nie ma jak można powiedzieć, że tego nie ma? Jeżeli się powie, że nie ma mądrości i się wie, co się mówi - oto i jest mądrość.

Jest tylko mądrość. Jest aż mądrość.

- Nie mogę tego pojąć. Nie mogę tego ogarnąć.

To za trudne.



- Bo cały czas myślisz, chcesz, starasz się, usiłujesz, wysilasz się, żeby to myślą ogarnąć; z czymś zgadzasz się, czemuś innemu sprzeciwiasz się, to dajesz ponosić się, to opierasz się, to wznosisz barykadę, to ją burzysz; obiecujesz sobie, że jeżeli to ogarniesz, to ci to coś na pewno da, coś skorzystasz, coś zyskasz, ale nie wiesz co; równocześnie lękasz się, że możesz coś stracić, kombinujesz, cały czas ze sobą handlujesz, targujesz się, idziesz na ustępstwa, nie idziesz na ustępstwa, kupujesz, sprzedajesz, odkupujesz, żałujesz wydatku, odsprzedajesz; dzielisz się na Ja i superJa i to superJa dyryguje Ja, zdalnie nim steruje ze swojego schronu, ze swojego bunkra, ze swojej dyspozytorni, ze swojego centralnego ośrodka, tego pępka świata, wysyła je do jakiejś walki z niewidzialnym przeciwnikiem, gotowe jest poświęcić to Ja i poświęca je, bo to w niczym nie zagraża jego esencji, jego zasadzie konstytutywnej, która właśnie zasadza się na dzieleniu się, czyli na mnożeniu się; chcesz kogoś przechytryć, nie wiesz kogo, zastawiasz pułapkę, sam w nią wpadasz, ale zaraz siebie z niej wyciągasz, żeby wpaść w kolejną pułapkę, żeby znowu z niej wydobyć się i tak w kółko Macieju: chcesz, nie chcesz, chciałbyś, nie chciałbyś; tak bardzo jesteś pewny siebie, zadowolony z siebie, dumny z siebie, pyszny z siebie, zachwycony sobą, zakochany w sobie, tak bardzo jesteś przeświadczony o herkulesowych możliwościach twojego intelektu, że czujesz się znieważony, kiedy ci się mówi, że jest coś poza twoim zasięgiem; mówisz sobie: „Ja pomyślę nad tym, ja to rozgryzę z czasem” (z czasem można tylko szczeznąć, czas można tylko tracić, czas można tylko marnować, do niczego lepszego czas nie nadaje się); poza tym wołałbyś nic nikomu nie zawdzięczać, nawet człowiekowi-nikt, bo nie możesz wyobrazić sobie, że to jest naprawdę człowiek-nikt i że wszystko, co robi, robi absolutnie bezinteresownie, nie oczekując ni od ciebie, ni od kogokolwiek wdzięczności, cienia wdzięczności; poza tym zżera cię ciekawość, ciągnie cię do głębokiej wody, ale też boisz się, ale coraz bardziej kusi cię, ale coraz bardziej boisz się i tak dalej, i temu podobne, i tak to blokujesz się tym wszystkim, bo to wszystko - nie uświadomione, nie wydobyte, nie wyekshumowane z mroku, nie wystawione na poświęcenie księżycu i nie zobaczone - blokuje w sposób nieprzekraczalny dostęp do portu samopoznania, a tylko wtedy, kiedy wypłyniesz z tego portu i zawieruszysz się na szerokie i głębokie wody, na pełne morze samopoznania, i poznasz się, tylko jedynie wyłącznie wtedy rozumienie będzie mogło przyjść do ciebie, bo ty już nie będziesz wtedy tylko ty, już nie będziesz całkowicie tylko swoim Ja, będziesz czymś nieskończenie mniej, czymś nieskończenie więcej.

A ty, cóż robisz? Cóż fabrykujesz? Ty właśnie fabrykujesz dokładnie wszystko, żeby ci się nie mogło przytrafić samopoznanie, po którym rozumienie, poprzez które ten fakt, to, do czego nie da się iść, żadną drogą, to tylko może przyjść samo, samoistnie, lekko, łagodnie, swobodnie, niesione własnym powiewem, nie chciane, nie przywoływane, nie wymodlone, bez najmniejszego wysiłku ze strony kogokolwiek: jasność, czystość, przejrzystość, absolutna schludność, niewinność, niewojowniczość, dziewiczość, bezśladowość, bezskazowość, bezzmazowość, niezmazywalność, niezłomność, niesprzedajność, nieprzekupność, nieskazitelność, nieskalaność, bezwątpliwość, niewyobrażalność, nieopisaność, nieprzetłumaczalność, niepodobność, niestworzoność, bezwymiar, nieskończenie wolne pole dla nieskończenia wszystkich cudów, to. Doskonała jedność, z której wywodzą się wszystkie doskonałe jedności natury: noc i dzień, śmierć i życie, spoczynek i ruch.

Ty nie możesz tego ogarnąć, w żaden sposób, nijak, nigdy. To natomiast może ciebie objąć. Wtedy, kiedy poprzez czystą, nagą, niewartościującą obserwację poznasz, czym są twoje pragnienia i sprzeczności, to znaczy pragnienia i pragnienia, gdyż sprzeciw jest oczywiście też pragnieniem, kiedy zaobserwujesz spokojnie, jak powstają, dlaczego, po co i jak w ogóle funkcjonuje ten cały mechanizm, wtedy i tylko wtedy będziesz mógł zostać ogarnięty, przygarnięty przez prawdziwy wymiar wszystkiego. Kiedy poznasz się. Nikt tego nigdy za ciebie nie zrobi, bo to jest samopoznanie, więc możesz to zrobić tylko sam. Możesz



to zrobić tylko sam, więc możesz to zrobić, gdyż w innym razie, nie mówiłoby się tu o tym. Nie siałoby się tego.

To samopoznanie nie jest poznawaniem przez gromadzenie wiedzy o sobie, przez zapamiętywanie, że to i to, i tamto, i jeszcze tamto. Całkowicie wręcz inaczej. Im więcej gromadzisz, im strojniej stroisz się, tym mniej miejsca na nieporównywalną prostotę i nagość. Milion informacji o sobie nigdy nie doprowadzi do poznania siebie. Milion informacji sfabrykuje miliard informacji, a prawdziwego poznania siebie dalej ani cienia. Tak jest z każdym gromadzeniem, czy to wulgarnym czy tak zwanym subtelnym. Pęczniący worek pieniędzy nigdy nie zamieni się w szczęście właściciela tego worka. Wszystkie wiersze o miłości nigdy nie zamieniają się w miłość. Wszystkie zasoby broni, wszystkie arsenały nigdy nie zamieniają się w pokój planety.

To samopoznanie jest poznawaniem nie przez akumulację, lecz przez ewakuację, nie przez afirmację, lecz przez negację, która następuje samorzutnie za każdym razem, kiedy jakiś szczegół swojego postępowania zaobserwujesz bez oceniania tego. To jest autonegacja. Ta autonegacja, raz szczęśliwie podjęta, jest szczęśliwie całkowita. Wszystko na śmietnisko! Imię i nazwisko, i przezwisko, i wszystko, co odrażająco, samolubnie z tym związane. Na śmietnisko! I z jaką radością! Ta radość jest radością samopoznawania się. Żadna znana ci radość nie może nawet porównać się z nią. Co zaś do radości życia, to wywodzi się ona ze świata cudów, ze świata faktów, co pojawia się, kiedy się już siebie poznało.

Do tej obserwacji siebie (przez którą samopoznanie, poprzez które rozumienie) potrzebna jest tylko uwaga, nie potrzeba żadnych specjalnych warunków ani laboratoryjno-komfortowych, ani podle-terenowych, ani malowniczych, ani egzotycznych, ani szwajcarskich, ani meksykańskich. Każde są dobre. Obserwować siebie można wszędzie. I nie są niezbędne wielkie, wstrząsające przeżycia. Każde najbanalniejsze zdarzenie uważnie i do końca obserwowane: co? jak? dlaczego? - może stać się decydujące, fundamentalne, przełomowe.

Mówisz, że to za trudne. Otóż to nie jest trudne. To jest łatwe. To jest proste. Niewiarygodnie proste. Ale tyś jest swoim Ja i dla ciebie, dla twojego intelektu - ćwiczonego przez stulecia i tysiąclecia w rachowaniu, wyrachowaniu, wszelakich skomplikowanych kombinacjach, machinacjach, sztuczkach, kruczkach i temu podobne - to jest „nazbyt” łatwe, to jest „nazbyt” proste. Twój umysł i twoje serce nie mogą tego pojąć dlatego, że brak im właśnie tej prostoty, tej naturalności, tej naiwności, tej niewinności. Umysł obserwowany uważnie przez samego siebie, przez stan - samoobserwującego - się - umysłu może połknąć swój gadatliwy język i uciszyć się, może siebie poznać i wtedy, i tylko wtedy może zaistnieć i pokazać ci się to nieporównane, to niezrównane, to niepochwytne, to nie lada jakie, to nie lada co, to nienagane, to nieposzlakowane, to niezakłócone, to niezatarte, to niepomazane, to nic - ponadto. Wielki żywy obraz.

Pochylić się nad sobą, pochylić się w sobie i uważnie wsłuchać się w siebie, uciszyć rozum umysłu z hałasu myśli, ostudzić serce umysłu z fałszywego zapachu uczuć, wydobyć się, wypaść z zakrzepłej, zatęchłej, zapadłej, przepadłej koleiny schematu i biegiem na przestrzał przez bezpańskie pola, przez bezdroża, wertepy, manowce; dać się objąć, dać się ogarnąć przez życiodajną atmosferę obserwacji - to jest trudne. Tylko to jest trudne. Wszystko inne jest proste. Nie do wiary proste. Nie do wyobrażenia proste. Nie do wyśnienia proste.

- Jeszcze o fakcie. Moja głowa, ręce, nogi, organy wewnętrzne, całe moje ciało czyż nie jest takim samym faktem jak woda lub drzewo?

- Ciało jest faktem. I nie musi potwierdzać, że nim jest. Bo nim jest.- Więc czy nie jestem jednak faktem, jeżeli moje ciało jest faktem? I przecież spożywam fakty: piję wodę, jem owoce drzew. Czy mógłbym żywić się faktami, gdybym nie był faktem?- Nie jesteś faktem. Twoje ciało nie jest twoim ciałem. Twoje ciało jest materią i jako takie nie należy do ciebie. Należy do materii, a materia nie należy do kogoś. Materia nie jest czyjaś. Więc to nie ty pijesz wodę, jesz owoce drzew. To twoje? Nietwoje ciało „pije wodę, je owoce drzew”. Ty nie spożywasz faktów. Ty karmisz się czymś zupełnie innym.

- Czym?

- Własnymi wymiotami, które oczywiście też nie są faktami. Pożerasz własne wymioty, po czym je wymiotujesz, po czym je pożerasz, po czym wymiotujesz i tak w kółko, błędnie, obłądnie i bez końca. Te wymioty

- tak jak i ty - nie mają prawdziwego początku. Te wymioty są tobą, a ty jesteś tymi wymiotami. Te wymioty są twoje, ale nie wzięły się z ciebie, wzięły się razem z tobą, jednocześnie (w tej jednoczesności nie ma żywej kolejności, żywego porządku życia). Wszystko, co możesz zrobić, to pożreć te wymioty i ich na powrót nie zwymiotować, lecz zacząć pożerać siebie.

- I co?

- I pożreć siebie do szczytu. To możesz. Tylko to możesz. I to jest cud. Pierwszy prawdziwy cud. Przed tym cudem wszystkie inne „cuda” są twoimi wymiotami.

- Kiedy pożrę siebie do szczytu, co wtedy?

- Wtedy się urodzi człowiek-życie, człowiek-nikt.

Człowiek-nikt to właśnie był człowiek-Ja, który pożarł swoje wymioty i ich na powrót nie zwymiotował, lecz zaczął pożerać siebie i pożarł siebie do szczytu, i nie zostało z niego nic, nic a nic, i pokazało się źródło, wiecznie od nowa rodzące się źródło wszystkich prawdziwych wiecznie nowych cudów. I prawdziwie zaczął się świat.

- Więc Ja może pożreć siebie do szczytu i to jest jego końcem?

- Pożryj siebie do szczytu i zobaczysz.

- Bo jeżeli Ja nie ma, jak to zostało powiedziane, prawdziwego początku, to czy może skończyć się to, co się nie zaczyna?

- Nie może. Końcem w tym układzie jest zobaczenie, że nie było początku, więc nie może być końca. Więc naprawdę to nie jest koniec człowieka-Ja. Naprawdę to są narodziny człowieka-nikt. Dla którego nie ma śmierci. Bo to, co się prawdziwie rodzi, jest wieczne jak wieczność, która to uwiecznia.

- Czym jest materia? Jaka jest definicja?

- Jeżeli chcesz definicji, oto ją masz: materia jest gliną w dłoniach garncarza, a garncarzem jest glina.



- Myślę, że trzeba mi zrezygnować z definicji. Czym jest materia?
- Materia jest życiem.
- Wszelka materia?
- Oczywiście.
- Nieożywiona też?
- Oczywiście.
- Moje-nie moje ciało idące drogą i kamień przydrożny, to jest to samo?
- Najzupełniej.

- Moje-nie moje żywe ciało i moje-nie moje martwe ciało, to jest to samo?

- Jedno i drugie jest materia, a materia jest życiem. Ale to może powiedzieć tylko ten, kto rozumie śmierć, to znaczy kto naocznie, nawlasnoocznie zobaczył fakt, przeżył fakt, że śmierci nie ma. A zobaczyć, że nie ma śmierci, skonstatować ten fakt, być tym faktem, czyli przeżyć śmierć, można nie po śmierci, nie po tym, co ty nazywasz śmiercią, lecz za życia, za życia tego, co ty nazywasz życiem. Dlatego nie eschatologiczne losy pośmiertne, lecz to życie tu jest najważniejsze. Bo w nim jest wszystko. Cały sens całego życia. Pełnia. Wieczność. W tym życiu tu, na powierzchni Ziemi, żyjąc wśród ludzi jest całkowite spełnienie.

Więc tylko ktoś, kto zobaczył i zrozumiał, i rozumie wciąż od nowa może powiedzieć o materii to, co powyżej zostało powiedziane. Bo gdyby inaczej, mógłbyś powiedzieć: „W takim razie po co żyć, jeżeli tak człowiek żywy, jak i martwy są materia, a więc życiem”. Wielu mogłoby powiedzieć: „W takim razie zabić człowieka nie jest zbrodnią”. Niejeden mógłby - w myśl tego, w imię tego - zacząć zabijać.

Zabić człowieka jest czymś nieskończenie bardziej zbrodniczym niż to, co ty nazywasz zbrodnią z jej wszystkimi konsekwencjami. Zabić człowieka jest zabiciem jedynej życiowej szansy tego człowieka umożliwiającej mu poznanie siebie, a więc nigdy nie kończące się rozumienie wszystkiego. Zabić człowieka jest zabiciem jedynej życiowej szansy tego człowieka umożliwiającej mu zrozumienie, że naprawdę nie można go zabić, to znaczy że można go zabić, można być jego mordercą, ale że on, umierając, naprawdę nie umiera.

- Czy już ktoś mówił takie rzeczy jak te, które tutaj słyszę? Pytam, bo to i owo brzmi tak, jakbym o tym już gdzieś czytał, jakby mi się to kiedyś obilo o uszy.

- Co cię obchodzi, czy już ktoś, kiedyś gdzieś mówił, takie rzeczy? Co cię to obchodzi? To jest dla ciebie absolutnie nieważne. Ważne jest tylko to, żebyś odkrywał w sobie to, co się tu mówi, o czym się mówi; żebyś odkrywał w sobie tu i teraz, natychmiast, zaraz natychmiast, a w każdym razie do siebie to wpuszczał, a nie porównywał tego z czymś, co ci się; obilo o uszy, odbiło od uszu raczej. Tylko to jest ważne: żebyś odkrywał w sobie. Odkryj najpierw w sobie, dopiero wtedy będziesz w stanie móc zobaczyć to samo ewentualnie gdzie indziej. To jest absolutnie jedyna żywa kolejność. Wszystkie inne „kolejności” są martwe.

Czy już ktoś mówił takie rzeczy? Jeżeli to był człowiek-nikt, to na pewno mówił takie rzeczy. Mówił, bo rozumiał, co mówi i rozumiał, dlaczego to mówi. Nie powtarzał po kimś. Żaden człowiek-nikt nigdy nie powtarza. Nawet po drugim człowieku-nikt. Choć każdy człowiek-nikt mówi o tym samym, na swój sposób i w języku swojego czasu i miejsca. Ale



kim on był, jak się nazywał, kiedy żył, gdzie żył - nie ma znaczenia. W jakim języku mówił to, co mówił: po chińsku, po palijsku, po aramejsku, po angielsku, po polsku - nie ma znaczenia. To, co ma znaczenie, to słuchać mówiącego, kimkolwiek on jest. Słuchać i odkrywać w sobie rewelacyjną oczywistość: jest tak, jak mówiący mówi, nie jest tak, jak mówiący mówi.

Wróćmy, że się tak wyrazi się, do powtarzania. Nawet jeżeli zdarzy się, że jeden człowiek-nikt coś powtórzy po drugim człowieku-nikt, użyje tego samego zwrotu, posłuży się tym samym obrazem, tą samą parabolą, to nie jest to powtarzanie. Bo on rozumie, co mówi. Poza tym i na marginesie: człowiek rozumiejący nie musi być oryginalny i dlatego nim jest. Ty musisz być oryginalny i dlatego nim nie jesteś.

Kto rozumie - nie powtarza. Kto powtarza - nie rozumie. Wszelkie powtarzanie, nawet po człowieku rozumiejącym, jest nierozumieniem, nieporozumieniem, katechizmem, martwą do kwadratu literą.

- Czy w książkach jest mądrość?

- W książkach nie ma mądrości. Bo jeżeli jest, to ten, kto sam nie jest mądry, nigdy jej nie dojrzy. Będzie ją mieć pod samymi oczami, na samych oczach, lecz nie w oczach i dlatego jej nie zobaczy. Będzie po niej ślizgać się jak na łyżwach po lodzie. Będą podobać mu się przeróżne figury stylistyczne, metafory, porównania i temu podobne, ale nie będzie wiedzieć, o czym to jest, o czym jest tekst. Będzie analizować, interpretować, komentować, filozofować, teologizować, egzegezować, ale te wszystkie poczynania oczywiście nie będą odczytaniem mądrości.

W książkach nie ma mądrości. Bo jeżeli jest, to tylko dla kogoś, kto sam jest mądry i dlatego będzie w stanie tę mądrość odczytać. Ale mądry po co miałby szukać w książkach potwierdzenia swojej mądrości? Co by znaczyło, że jednak nie jest mądry. Mądry nie czyta książek.

- Żadnych książek?

- Jedną.

- Jaką?

- Książkę życia skrzącą się, migocącą, mieniającą się od tryskającej wiecznej cudowności.

- Czy w książkach nie ma życia?

- W książkach są słowa.

- Czyż słowa nie opisują życia?

- Słowa, kiedy wypowiada je człowiek-nikt, opisują życie, są opisem życia, nigdy życiem. Żaden opis życia nie jest życiem i żaden opis śmierci nie jest śmiercią.

Druga część tego zdania niewątpliwie bardziej do ciebie trafia niż pierwsza.

- Czym są słowa?
- Słowa są właśnie opisem.
- I opis nie jest tym, co opisuje?
- Nigdy nie jest.
- A gdyby, załóżmy, był taki opis, który by doskonale wiernie opisywał rzecz opisywaną?
- To nie byłby opis.
- Aha, no tak. To byłaby wtedy rzecz opisywana.
- To byłaby rzecz nie opisywana. To byłby fakt.

Czyli nie wspólnego z opisem.

W książkach nie ma mądrości. Bo jeżeli jest, to może to być tylko opis mądrości.

- Czy nawet opis mądrości nie jest w niczym mądrością?
- Opis mądrości jest opisem jak każdy opis. Nigdy nie jest tym, co opisuje. Bo nie może być. Opis zawsze pozostanie tylko opisem. Także opis mądrości. Żeby zobaczyć mądrość, jest nieodzowne wyjść poza opis, jest nieodzowne przekroczyć opis, to znaczy zdemaskować opis, to znaczy skonstatować, że opis jest i pozostanie zawsze tylko opisem, że nigdy nie jest i nigdy nie będzie tym, co opisuje lub co mu wydaje się opisywać. To może uczynić tylko człowiek żywy, człowiek mądry.

Ze wszystkich opisów mądrości najmądrzejszy jest, że się tak wyrazi się, nie opis po-mądrości, nie opis niewymownej jasności - nie do pojęcia, nie do objęcia przez czytającego lub słuchającego człowieka-Ja - lecz opis przed-mądrości, opis mroku, negatywne objaśnianie głuchych ciemności. Ten, kto taki opis czyta lub takiego opisu słucha, może w sobie ten mrok, tę przed-mądrość, tę nie-mądrość odkryć. I to wystarczy. Bo to jest właśnie mądrość. To się odbywa tak: czytający czyta (nie wie, o czym jest to, co czyta) odkrywa w sobie nie-mądrość (nie-mądrość rozwiewa się - to jest właśnie mądrość) czytający, który już jest mędrce, rozumie to, co czyta. Czytający lub słuchający zawsze najpierw odkrywa w sobie, potem dopiero rozumie, co czyta lub czego słucha. To najpierw i potem nie dzieje się w czasie, to przebiega poza czasem i jednocześnie, i oto rzecz cudowna: w tej pozaczasowej jednoczesności ten porządek, ta kolejność: najpierw, potem pozostaje aktualna. I to jest właśnie żywy porządek życia. Każdy, kto rozumie, jest zawsze pierwszym człowiekiem świata, który zrozumiał i który odtąd rozumie coraz to od nowa i coraz to coś nowego. Rozumie najpierw sam i potem widzi tych innych, co przed nim rozumieli (rozumie też, że nie mogli mu swojego rozumienia przekazać, to znaczy po prostu go dać, wręczyć jak miszkę stawy głodnemu, choć go miłowali nieskończenie więcej niż matka własne dziecko). Widzi, że oni byli pierwsi, każdy z nich był pierwszy, i że on tak samo jest pierwszy, i że każdy, kto będzie rozumieć, tak samo będzie pierwszy. I to jest właśnie absolutna równość, absolutna sprawiedliwość, absolutnie niewyobrażalne, nieśmiertelnie żywe piękno życia. W życiu, w tym prawdziwym - żadnych chronometrów, żadnego ścigania się, żadnych zawodów: kto szybszy, silniejszy, skoczniejszy i temu podobne, żadnych przegrywających. W życiu - sami wygrywający. Każdy rozumiejący jest pierwszy. Nie zawdzięcza tego rozumienia komuś, a zatem nie jest żadną wdzięcznością do czegośkolwiek ani do kogokolwiek przykuty. Nawet do człowieka-nikt, jeżeli to on człowieka prawego i uważnego w głuchych ciemnościach nakierowywał. Żadnych zobowiązań, żadnych długów; ani cienia tych rzeczy.

W wieczności każdy tu się rodzi sam z siebie. Każdy tu jest swoim własnym ojcem, matką i synem czy córką. Każdy tu jest swoim prawdziwym twórcą i twórcą wszystkiego, czym jest.

- Więc opis to słowa. Czy liczby też?

- Oczywiście.

Opis w twoim wykonaniu to opis opisu. To nie kończący się opis nie kończącego się opisu. Tyś jest swoim Ja. Tyś jest Ja, którym jesteś. Ty jesteś opisywaczem i ty jesteś opisem. I to dlatego - jeżeli nie zatrzymasz się, jeżeli będziesz trwał nadal jako opisujący siebie opis - nigdy nie pojawi się nieopisana i nieopisująca się rzeczywistość. Albo jesteś ty, albo jest rzeczywistość. Kiedy jesteś ty - rzeczywistości nie ma. Kiedy ciebie nie ma - jest rzeczywistość.

- Nie rozumiem i wydaje mi się, że nie mogę nawet powiedzieć, że tego nie rozumiem, bo zaiste nie wiem, czego nie rozumiem. Ale jeżeli jest tak, jak to zostało powiedziane, to w takim razie czemu służy to wszystko? Czemu służy opis? Czemu służę ja, który jestem opisem, jeżeli nim jestem? Nie służy niczemu to wszystko?

- Służy. O, jeszcze jak służy! Powiedziałeś to, ale należy to zobaczyć, nie ze znakiem zapytania, lecz z wykrzyknikiem: to wszystko służy niczemu! Służy właśnie temu, żeby zobaczyć, że nie służy to niczemu, że nie służy to szczęśliwemu życiu.

- Kim jest mędrzec?

- Mędrzec jest głupcem.

- Jak? Nie dosłyszałem.

- Mędrzec jest głupcem. Można śmiało i bezbłędnie tak powiedzieć.

- Jakżeż to?

- Głupiec widzi, że jest głupcem - i oto rodzi się mędrzec.

- To wszystko?

- To wszystko. Ale tobie wszystko nie wystarcza.

Dlaczego? Bo tobie wszystko nie mówi nic.

- A czym jestem ja w tym wszystkim?

- Ty w tym wszystkim nie jesteś nawet niczym. Ale się powie inaczej: ty nie jesteś głupcem.

- Kim jestem więc?

- Jesteś głupcem, który nie widzi, że jest głupcem. Jesteś więc ni głupcem, ni mędrce. Jesteś ni zimne, ni gorące. Jesteś letnie. Coś, co nie istnieje.



- Czy mędrzec ma uczniów? I jeżeli tak, to kto może zostać jego uczniem?

- Mędrzec nie ma uczniów. Uczeń wymyśla się sam. Wymyślając się jako uczeń, wymyśla tym samym mistrza, wszak bez mistrza uczeń nie istnieje. Mędrzec nie ma uczniów. Mędrzec wie, że uczeń to jego, mędrca, czkawka, kiedy źle się napił, niepotrzebnie pośpiesznie, nieuważnie. W momencie kiedy źle pił, nie był mędrcom i dlatego źle się napił, i dlatego ma po tym czawkę, to znaczy dopuścił do sytuacji, w której ktoś wziął się za jego ucznia.

Uczeń to błoto u sandałów mistrza, to rzep, co czeplił się jego kurtki. Mędrzec nieustannie sandały w strumieniu czy w deszczowej wodzie myje i kurtkę na wietrze wytrzepuje i czyści. Nieustannie się detronizuje z tronu, na który go sadzają. Jeżeli tego nie robi, nie jest prawdziwym mędrcom. Mędrzec mówi do „ucznia”: bądź sam dla siebie mistrzem i zarazem uczniem, słuchaj i w sobie odkrywaj; kiedy się słucha - mistrz jest uczniem i dlatego jest mistrzem; kiedy się w sobie odkrywa - uczeń jest mistrzem i dlatego jest mistrzem.

- Czy są wyjątki od reguły?

- Tyś jest swoim Ja. Ty jesteś wyjątkiem od reguły. Ty chcesz być lepszy, wyższy, szybszy, silniejszy, sprawniejszy, ładniejszy, przystojniejszy, zdolniejszy, zacniejszy, cnotliwszy, miłszy, sympatyczniejszy, sławniejszy, bogatszy, grubszy, chudszy, poważniejszy, dowcipniejszy, weselszy, smutniejszy, gorliwszy, oporniejszy, dumniejszy, skromniejszy, pyszniejszy, pokorniejszy i co tam jeszcze zostało - od drugiego Ja, które chce, na swoje nieszczęście, tego samego co ty.

W ten to sposób ty i pozostale Ja, pozostali zawodnicy, amatorzy i profesjonaliści, każdy człowiek-Ja, wszyscy jesteście wyjątkami. Razem zaś układacie się w wyjątkową regułę: regułę wyjątków: wyjątkowo regularną armię wyjątków.

- Co to znaczy być poetą?

- Być poetą to tak się zachowywać, żeby to zachowanie nie pozostawiało żadnej wątpliwości, że się jest poezją.

- ...żeby to zachowanie nie pozostawiało żadnej wątpliwości, że się jest poezją, czy że się jest poetą?

- Ze się jest poezją. Poetą nie da się być.

- ?

- Tam gdzie jest poeta - nic nie jest poezją. Tam gdzie jest poeta - nie ma poezji, a tam gdzie nie ma poezji, nie może być poety, bo tam gdzie nie ma poezji - nie ma nic. Kiedy nie ma poezji, nie ma nic, nie ma nawet możliwości skonstatowania, że nie ma poezji, bo czy da się stwierdzić brak tego, czego nie ma? Czy da się skonstatować brak braku? Oczywiście nie da się. Da się natomiast, kiedy nie ma poezji, opowiadać różne fantasmagoryczne rzeczy, taką na przykład, że są poeci.

- Dotarło do mnie, że nie da się skonstatować braku braku. Ale dlaczego tam gdzie jest poeta - nie ma poezji? Tam gdzie jest poeta - tam właśnie jest poezja.

- Tam gdzie jest poeta - tam właśnie nie ma poezji.

- Ale dlaczego?

- Bo jest dwa, a nie jeden. Jest podział. Sztuczny, jak każdy podział, ale w ramach sztuczności realny dla tego, który - nieświadomy całej swej istoty - tę sztuczkę, ten, że się tak wyrazi się, prawdziwie sztuczny ogień wymyślił.

- Jaki podział?

- Podział na poetę i poezję, na Ja-poeta i nieJa-poezja. Ale taka poezja nie jest prawdziwą poezją, jest tylko idea, konceptem, wymysłem, projekcją wyobraźni poety, zupełnie tak, jak nieJa jest tylko projekcją Ja. Tak więc Ja-poeta i nieJa-poezja równa się Ja-poeta i nieJa-poeta, a to równa się Ja-poeta i Ja-poeta, czyli Ja-poeta. Poezji ani błysku. A więc i poety ani błysku, gdyż kiedy nie ma poezji, czy może być poeta? Kiedy nie ma poezji - nie ma nic.

Kiedy zaś jest poezja - wszystko jest poezja: wszystkim jest poezja i wszystko jest poezją. Kiedy jest poezja - poeci też są poezją. Prawdziwy poeta nie jest poetą. Prawdziwy poeta jest poezją.

Ty lub inni poeci (którzy jesteście poetami, bo nie jesteście poezją) powiecie o tym, co powyżej zostało powiedziane, że to jakaś mistyka, bardzo możliwe, że tak powiecie. Co znaczy mistyka? Moglibyśmy zajrzeć raz do jakiegoś słownika (pełno ich na półkach w tym pokoju), ale chyba tylko po to, żeby się dowiedzieć, że się niczego z nich nie dowiemy. Bo wszystkie słowniki tłumaczą to samo przez to samo. Szuka się pod hasłem: mistyka, wyjaśnienie brzmi: nadmysłowość, nadprzyrodzoność; szuka się pod hasłem: nadprzyrodzoność, wyjaśnienie brzmi: mistyka. Tak to wygląda i to w wielkim, oszczędnym skrócie. Człowiek sfabrykowany z papieru zadowolony jest tym, że trochę papieru przeżuł, nakarmi się tym i będzie dalej tym karmił się. Ale człowiek uważny, z krwi i kości, zwymiotuje to i więcej się na to nabrać nie da. Prawidłowo, poprawnie słowniki winny nazywać się: tautologiarze.

Bardzo smutnym w skutkach nieporozumieniem słowników jest to, że chcą wyjaśniać, miast po prostu zaciemniać; że wyjaśniają pozytywnie (przez co, zdając się zmniejszać zamieszanie, zwiększają je), miast wyjaśniać negatywnie, co pozwoliłoby zobaczyć, że słowami da się powiedzieć o każdej rzeczy wszystko za, a następnie wszystkiemu zaprzeczyć, a następnie wszystkiemu za-za przeczyć, a następnie wszystkiemu za-za-zaprzeczyć i tak bez końca w sposób coraz bardziej „inteligentny”, czyli tkwić wciąż w martwym punkcie, kręcąc się w kółko jak bąk. Co pozwoliłoby zobaczyć, że słowa są niepoważne, więc dlaczego brać je tak szalenie na serio, jak to je bierzemy? Co pozwoliłoby zaniechać wreszcie szukania w książkach tego, czego w nich nie ma. Co pozwoliłoby rozglądać się wreszcie wokół siebie. Co pozwoliłoby odkryć życie.

Więc, czym mistyka? Mistyka to wymyślać metajęzyk i mieszać go z językiem obiegowym już i tak nazbyt pytasowym. Na przykład: mówimy po polsku i oto jeden z nas zaczyna naraz mówić po abrakadabrsku, którego to języka ani słuchający ani mówiący naprawdę nie rozumieją.

I oto pytanie stawia się na nogi samo: to, co robicie, wy, poeci, wymyślając język poetyczny, który miesza z językiem publicznym już i tak nazbyt chaotycznym - nie jestże to mistyka totalna?

- Czym jest nawyk? Taki jak nałogowe picie trunków, palenie papierosów, żucie gumy, granie w karty, boleśnie powitalny uśmiech urzędników, kiedy się do nich zachodzi w jakiejś sprawie i wiele, wiele innych. Może też... nawyk pisanie wierszy, jeżeli jest to nawyk.

- Wszystko to są nawyki. Jest ich bez liku. Nawyk jest nieuwagą. Jest inercją, bezwładem, niemocą. Jest ornamentem wystroju psychicznego. Jest psychologiczną niewolą. Jest stwarzaniem czasu, pieczętowaniem jego ciągłości i wyrazem rozkładu tej ciągłości.



Dla przygniatającej większości ludzi ich całe życie jest jeno nawykiem, postępującym w wiadomym kierunku rozkładem, korupcją, degeneracją. I cała zgroza w tym, że sami tego chcą. Wepchnięci, przy swoim czynnym współudziale, w przepastną koleinę o stromych ścianach i pochyłym spadku, nie chcą zobaczyć, że coraz niżej po niej staczą się. A wystarczyłoby to zobaczyć i stałby się cud.

- Czym jest pamięć?  
- Pamięć jest składowiskiem przeszłości. Składowiskiem czasu.  
- To znaczy czasu przeszłego.  
- Czasu przeszłego. Czasu w ogóle.  
- Chwileczkę. Czasu przeszłego, czy czasu w ogóle.  
- Jest tylko jeden czas: przeszły. Cały czas jest czasem przeszłym. Innymi słowy, cały czas już minął.  
- Jakże to? A czas teraźniejszy? A czas przyszły?  
- Czas teraźniejszy jest przeszłością odpowiednio modyfikowaną. Modyfikowaną według schematów, modeli, matryc, szablonów będących w przeszłości.  
Co zaś tyczy się czasu przyszłego, nigdy go nie ma. Dlaczego? Bo jest już w przeszłości. Przyszłość jest tylko projekcją przeszłości.  
- Jak to się odbywa?  
- Tak, jak przy każdej projekcji. Jest projektor, czyli rzutnik, jest smuga, jest ekran i obraz na ekranie. Rzutnikiem z taśmą filmową jest przeszłość, smugą jest czas teraźniejszy, ekranem i obrazem na ekranie jest czas przyszły. Czasy: teraźniejszy i przyszły są skutkami przyczyny. Przyczyną jest przeszłość.  
Idź w góry i głośno krzyknij. Może to być dźwięk nieartykułowany lub dźwięk „niosący” jakieś słowo, Na przykład właśnie słowo: czas. Po chwili - która jest czasem teraźniejszym - odpowie ci echo, które jest czasem przyszłym, a o czym musisz powiedzieć, że jest czasem teraźniejszym, a w tej chwili już czasem przeszłym, a więc o czym nie możesz nigdy powiedzieć, że jest czasem przyszłym. Czas przyszły jest echem czasu przeszłego, a to co pomiędzy - nim rozlegnie się echo - jest czasem teraźniejszym: kładką, pomostem. Wszystko to jest oczywiście przeszłość. Wzięło się ze składu pamięci, ze składu czasu, który cały jest przeszły. Tak więc to, co wydawało ci się być postępowaniem do przodu, przodem do przodu, wyda ci się może w tej chwili postępowaniem do tyłu, tyłem do tyłu, ale naprawdę nie jest ani tak, ani owak.  
Ktoś nadzwyczaj pomysłowy wymyślił kiedyś, że idealnym uniwersalnym samochodem byłby samochód, który by wyrzucał przed siebie drogę i po tej wyrzucanej, rozwijanej przez siebie drodze jechał. Latający czołg. Więcej, nieskończenie więcej: czołg mogący poruszać się we wszystkich żywiołach, bo każdym żywiołem, w którym czołg chciałby poruszać się, byłyby gąsienice tegoż czołgu. Wehikuł czasu jest takim właśnie wszech-żywiołowym czołgiem. Ale stojącym w miejscu. A tym miejscem jest też czołg. Więc czołg stoi sam na sobie. Albo powiedzmy: wisi sam na sobie. Wisi na włosku własnej lufy, która strzela do przodu, a pociski lecą do tyłu.

Czas, cały czas jest przeszłością. Czas to jest taka droga, która cała (ta przyszła też, ta nie-przeszła) jest przeszła. Po drodze czasu nie można nigdzie dojść. Po drodze czasu można tylko stać nieruchomo w miejscu. W czasie nie da się prawdziwie żyć. W czasie można jedynie trwać. A trwać znaczy nic nowego. A nic nowego znaczy być martwym. Jak wczorajszy dzień. I jak wspomnienie wczorajszego dnia.



Czas, cały czas, jest przeszły, a więc teraz nie istnieje. I uważaj: to, co teraz nie istnieje, nigdy naprawdę nie istniało.

- To niesłychane. Nie może tak być. Musi być coś, nie wiem co, co nie jest przeszłością.  
- Jest. I to jest tu, nie tam, nie w przeszłości ani w tak zwanej przyszłości. To jest właśnie teraz. Nie czas teraźniejszy (który jest tylko zwodzonym mostem pomiędzy przeszłością a przyszłością), lecz teraz. Zaraz teraz. Teraz natychmiast. Które do czasu nie należy. Tego, co żyje w teraz, czas - to śmierdzące monstrum - kąsać nie może, nie jest w stanie. Stulecia, milenia, miliony, miliardy, miriady lat, wszystkie czasy, absolutnie wszystkie czasy: przeszłe i tak zwane przyszłe - znajdują się, pre-„egzystują" w tym malutkim teraz i nie plamią, nie brudzą, nie kalają tego teraz ani jedną sekundą.

Teraz to wieczność. Wieczność to wieczne teraz, wieczne nowe tu-i-teraz. Wieczność w wiecznym nowym tu-i-teraz wiecznie na nowo się uwiecznia.

- Co to jest seks, akt seksualny? Dlaczego to jest takie ...absorbujące?

- Dla ciebie akt seksualny jest wyspą, na którą uciekasz przed samym sobą.

- Co znaczy to obrazowe porównanie?

- Akt seksualny jest przeżyciem tak intensywnym, tak organicznym, że twoja świadomość zatracą się w nim zupełnie. Zatracą się doszczętnie. Tak, że cię wtedy nie ma. Nie ma twojej świadomości, a kiedy nie ma twojej świadomości, nie ma ciebie, a kiedy nie ma ciebie, nie ma konfliktów, nie ma lęku, nie ma udręki, nie ma żadnych cierpień psychicznych.

Lecz tobie, który wędziesz, który usychasz w czasie, który konasz w czasie jak w łożu boleści przedłużającej się w nieskończoność choroby - jakże musi wydawać się krótki ten pozaczasowy moment uniesienia, prawdziwego, pozaświadomego bycia.

- To dziwne, to bardzo dziwne. Dlaczego zatem mnie - który jestem tym, kim jestem (faktem czy nie, nic już nie wiem, ale na pewno jestem tym, kim jestem) i który na pewno chcę być tym, kim jestem - tak potężnie, tak niekiedy nieodparcie pociąga coś, gdzie zatracam się, gdzie mnie nie ma?

- Na pewno jesteś tym, kim jesteś. Jesteś swoim Ja. Jesteś Ja, którym jesteś. Jesteś naszpikowany sprzecznościami. Twoja istota to wręcz istota sprzeczności. Na pewno chcesz być tym, kim na pewno jesteś, ale oto jednocześnie bywasz niekiedy dla siebie nie do zniesienia. Wtedy przed sobą uciekasz. Między innymi do aktu seksualnego. Dlatego akt seksualny w twoim wykonaniu nie jest aktem naturalnym ze swoim naturalnym pięknem seksualnym, lecz jedynie jedną z niezliczonych form ucieczki przed sobą.

Całe twoje życie jest bezustanną ucieczką przed śmiercią, do której wszakże, cokolwiek byś nie czynił, nieubłagane, nieodwracalnie, nieodwołalnie zbliżasz się. Całe twoje życie jest bezustanną ucieczką od siebie do siebie, bo nie możesz uciec gdzie indziej. Wydaje ci się na pewno, że jesteś obecny w kulminacyjnym momencie aktu seksualnego. Tak nie jest. To tylko wydaje ci się (jak wszystko inne). Ciebie nie ma podczas apogeum, podczas zenitu aktu seksualnego. Jest ciało. Tylko ono. Aż ono. Dlatego ten akt jest tak żywy, żywotny, życiodajny. Bo kiedy ty umierasz, tryska życie.

I to dlatego, kiedy opuszczasz wyspę nieobecności - zanurzając się na powrót w mętne, cuchnące wody niezgłębionej, nieznurkowanej do dna świadomości - jesteś jakiś przynębiony, otępiały, zgaszony, smutny.

I nie wiesz dlaczego.

- Przepraszam z góry za pytanie, które chciałbym teraz postawić...
- Poza tobą nie ma tu kogoś, kogo można by za cokolwiek przepraszać. Więc pytaj lub nie pytaj.

- Hm. To może zapytam o to przy jakiejś innej sposobności. Pytanie jest właściwie z rodzaju ciekawskich, nie zaś ciekawych. W tej chwili to sobie uświadomiłem.
- Wielką, największą jest rzeczą uświadomić sobie świadomość, całą świadomość. Nie ma poza tą rzeczą, przed tą rzeczą nic prawdziwie cudotwórczego.

Ale czekaj. Twoje poprzednie pytanie było o seksie. Chciałeś może zapytać o mniej więcej coś takiego, czy w rozumieniu jest miejsce na seks?

- Zostałem przyparty do muru. Tak. O mniej więcej coś takiego chciałem zapytać.
- Posłuchaj. W rozumieniu jest takie miejsce i na taki seks, że wszystkie twoje najśmielsze, najbardziej erotycznie wybujałe sny nie mogą nawet porównać się z tym.

- Co to jest sen? Dlaczego muszę przespać jedną trzecią mojego życia? Dlaczego muszę spać?
- Tyś jest swoim Ja. Tyś jest Ja, którym jesteś. Ty nie musisz spać.
- Nie muszę, ale śpię?
- Ty nie śpisz.
- Ja nie śpię?
- Ty nie śpisz.
- Nie śpię, ale śnię?
- Nie śpisz, bo śnisz.
- Nie wiem, o co chodzi. A co to jest to, co mi się śni?
- To, co ci się śni, to jesteś właśnie ty. Ten sen, to marzenie senne, to koszmarzenie senne i ten ktoś, kto je potem interpretuje - według sennika takiego czy takiego - to jedno i to samo. To ty.

Ty nie śpisz. Ty nigdy nie śpisz. istotą twoją jest bezsenność, bezsenne trwanie. „Niech ryczy z bólu ranny łoś. Ktoś nie śpi, albowiem spać nie może ktoś”. Gdyby tak wyglądał sławny dwuwiersz arcysławnego tragikomedio pisarza, wtedy mówiłby coś prawdziwie istotnego.

Ty nie śpisz. Śpi twoje-nietwoje ciało, żeby się obudzić, żeby się wyjawic rano w nowym świecie, choć tobie wydaje się, że w starym świecie, coraz starszym świecie.

Bo z nocy rodzi się dzień, z zimy rodzi się lato, ze śmierci rodzi się życie.

- Czym jest noc?

- Ani ty, ani żaden człowiek-Ja nigdy tego nie zobaczycie, dopóki będziecie tylko ludźmi-Ja. Bo można to zobaczyć jedynie nagimi, dziewiczymi, niczymi oczami.

Się powie ci, czym jest noc, ale to do ciebie nie dotrze, bo nie może dotrzeć; nazbyt to olśniewające. Zdziwisz się, kiedy ci się to powie; nie, nawet nie zdziwisz. Bo zaprawdę nazbyt to olśniewające dla kogoś, kto jest tylko kimś, a więc nie jest nikim, a więc nie jest wszystkim. Możesz zaśmiać się, kiedy ci się to powie, to możesz, albo puknąć się palcem w czoło na wiadomy znak, że uznajesz to za gigantyczną, kosmiczną brednię; albo możesz polubownie rzecz przemilczeć, tak, jakbyś jej wcale nie był usłyszał. Bo też zaiste nawet nie możesz tego dobrze usłyszeć.

- Niemniej słucham. Czym jest noc?

- Noc jest ogniskiem słońca. Noc jest wnętrzem, domostwem słońca. W nocy słońce śpi.

- Po co jest noc?

- Noc jest po to, żeby umrzeć. Dzień jest po to, żeby żyć. Jeden dzień to jest całe życie. Kiedy się to rozumie, kiedy się to widzi z całą jasnością, z całą olśniewającą jasnością dnia i z całą olśniewającą ciemnością nocy, się żyje w każdym momencie taką pełnią i tak do głębi, że żaden moment nie pozostawia po sobie najmniejszego śladu w pamięci. Przeżywszy tak - prawdziwie i miłośnie, i bez reszty - cały dzień, czyli całe życie, kiedy zapada noc, się idzie spać, nie jak gdyby się szło umierać, nie jak, bo to tu już nie jest świat porównań, to nie jest świat wierszy, prozy poetyckiej, poezji prozodycznej i temu podobne; to jest świat poezji nieporównywalnej, nieporównawczej; więc kiedy zapada noc, się idzie spać, nie jak gdyby się szło umierać, lecz idzie się spać równa się idzie się umrzeć. Bo też tak jest.

I nie ma żalu, bo nie ma draśnięcia, nie ma rysy, nie ma rany, którą zostawia po sobie ku pamięci chwila niecałkowicie przeżyta. I nie ma lęku. Spokój niewypowiedzialny, zdrowie fundamentalne.

- Czym jest lęk?

- Tyś jest swoim Ja. Ty jesteś lękiem i tym, który lęka się. Ty jesteś przyczyną lęku i jego skutkiem.

- O co się lękam?

- O siebie. Zawsze o siebie. Tylko o siebie.

- O siebie, zgoda. Ale nie zawsze o siebie i nie tylko o siebie. Lękam się na przykład o bliskie mi osoby. Żeby się im nic złego nie stało. Lękam się o te osoby, nie o siebie.

- Lękasz się o siebie. Nie lękasz się o dalekie ci osoby, lecz o bliskie, czyli o te, które stanowią o twoim życiu, które stanowią twoje życie. Lękasz się o nie, bo gdyby im co złego stało się, to tobie by co złego stało się.

- Lękam się w jakiś sposób o cały świat, o jego losy.

- Lękasz się o cały świat, bo ty w tym świecie jesteś i gdyby co złego światu stało się, to tobie musiałoby co złego stać się. Lękasz się o siebie, zawsze o siebie, tylko o siebie.



- Nie mogę się na to zgodzić.

- Czy ty na to godzisz się, czy nie godzisz, to jest zupełnie to samo. Bo to albo ty godzisz się, albo ty nie godzisz się. Sencundum non datur. A więc: ty, zawsze ty, tylko ty.

- Dlaczego jedni ludzie wierzą w Boga, a drudzy nie?

- Ci co mówią, że wierzą w Boga i ci co mówią, że nie wierzą - mówią to samo. Dla jednych, jak i dla drugich - ten sam problem: wiara. Jedni wierzą w swoją wiarę, drudzy wierzą w swoją niewiarę. Jedni i drudzy wierzą. I wierzą w istocie w to samo, w to, co sami wymyślili. Ale nie widzą tego. Nie widzą tego, bo nie widzą jasno, są zaślepieni. Są zaślepieni właśnie swoją wiarą. Jedni swoją wiarą w Boga, drudzy swoją niewiarą w Boga, czyli swoją wiarą w niewiarę w tego Boga, czyli swoją wiarą w innego Boga. Bo kiedy mówi się, że wierzy się lub nie wierzy, to zawsze w coś wierzy się, lub w coś nie wierzy. Kiedy mówi się, że wierzy się lub nie wierzy, zawsze wierzy się i zawsze w coś. Nie da się wierzyć (lub nie wierzyć) w nic, czysto, bez powodu, bez przyczyny. A czym jest ta przyczyna? Ta przyczyna jest przecież skutkiem. Wiara w Boga jest Bogiem, a Bóg jest wiarą w Boga (jedno bez drugiego nie istnieje. Jakież to Bóg, który nie istnieje bez wiary w niego!). Przyczyna jest skutkiem i odwrotnie. Taka jest struktura każdej wiary. To wszystko jest łatwe do odczytania, do zdemaskowania, kiedy się widzi jasno, kiedy nie ma lęku, kiedy się rozumie, czym jest lęk, a więc kiedy problem lęku - i co za tym idzie problem wiary - w ogóle nie istnieje. Ale nie widzi się jasno, kiedy jest lęk. Kiedy jest lęk, nie ma jasnego swobodnego patrzenia, a kiedy nie ma jasnego swobodnego patrzenia, jest lęk i szaleją wymysły, i hulają demony. Jedni wymyślają jednego Boga, drudzy wymyślają drugiego Boga. Jednocześnie tych Bogów stroją (Bóg będący obiektem kultu nie może być nagi. Oddawanie mu hołdu już jest przystrojeniem go). A co stroją? Stroją coś, co już jest strojem, pod którym nie ma ani opłatka, ani hostii żywego ciała. To jest coś takiego, jak kiedy wypierze się kurtkę i wstawi pod ramiona wieszak, i powiesi, żeby wyschła, na linie na dworze; przychodzi mróz i mokre sukno tężeje na mrozie i to wygląda z daleka niby pełne, ale oczywiście jest puste i sobie wisi. Ale wisi na wieszaku, co wisi prosto na linie, co wisi prosto na drzewie, co stoi prosto w ziemi, co stoi prosto na niebie. A tamto nie jest nawet taką zmarzniętą, pustą kurtką. Tamto jest próżne i suche jak słowo i wisi samo na sobie. Jak każdy wymysł.

Więc jedni stroją swojego Boga w jeden sposób, drudzy stroją swojego Boga w drugi sposób. W trakcie tego wszystkiego oczywiście utożsamiają się ze swoimi Bogami, co nie przychodzi im z trudem, wszak utożsamiają się z sobą, ale nie z sobą: biednymi, słabymi, ułomnymi, grzesznymi, lecz z sobą: potężnymi, idealnymi, boskimi, niepokalanymi. Co może zdarzyć się, co wcześniej czy później musi zdarzyć się, kiedy dochodzi do konfrontacji przedstawicieli obu sekt i ich interesów fizycznych i metafizycznych, łatwo przewidzieć. W imię swoich odmiennych w szczegółach strojów Bogów - wzajem mordują się.

Historia ludzkiej wiary cuchnie od milionów trupów pomordowanych w imię wiary, takiej, innej, czy jeszcze innej, nie ma znaczenia jakiej, bo wszystkie jednakie. Każda wiara poi się krwią, ocieka krwią, opływa krwią, ale niestety nie tonie w tej krwi, lecz rozkosznie pławi się,

bo krew jest jej krwawym żywiołem. Historia ludzkiej wiary jest jedną nieprzerwaną czarną "nocą świętego Bartłomieja".

Ludzie-nikt, ludzie-miłość, ludzie-jasność, ludzie-słońca chodzą po ziemi i mówią, czym jest wiara, każda wiara, pokazują czarno na czarnym, że czarne jest czarne. Mówią do ludzi-Ja: zobaczcie, czym są wasi Bogowie, otwórzcież wreszcie oczy i zobaczcie, że Bogowie są waszymi mordercami; poznajcie siebie i zobaczcie, że wy jesteście Bogami, w których wierzycie i że to wy sami mordujecie siebie samych. Ale albo tych ludzi-nikt nie słucha się, albo słucha się ich jak Bogów, a więc ślepo słucha, a więc wcale nie słucha, nie odkrywając w sobie tego o czym mówią i odrzuca się dawnych Bogów, i z tych ludzi-nikt fabrykuje się "nowych" Bogów, na przekór nim samym, wbrew temu co mówią, i wszystko jest tak, jak było, zastąpiło się to samo przez to samo, i wynika z tego to, co z tego wynika; nie ma życia, nie ma rozumienia, nie ma wolności, nie ma światłości, nie ma szczęścia, nie ma pokoju pod oliwkami ni gdzie indziej. Bo jest wiara w to, co oznacza się słowami: pokój, szczęście, wolność, mądrość, które to słowa w ustach każdego wierzącego nie oznaczają nic więcej jak hałas i chaos, lęk i agresję, chciwość i przemoc, czego efektem jest obłudna lub jak najbardziej szczerza lichwa tonami „ważkich” i imponderabilnych dewocjonaliów zamieniających się - kiedy co pewien czas biją na trwożny alarm dzwony masowego przekazu - w dzidy, łuki, miecze, karabiny, granaty, armaty, bomby. hekabomby i hekatombry.

- Czy Bóg, prawdziwy Bóg istnieje?

- Ach, Boże! Ty dalej swoje. Czyż nie widzisz, że aby móc postawić to pytanie, jest nieodzowne - naturalnie - odrzucić istnienie Boga, bo nie uczyniwszy tego, jak można pytać o istnienie Boga? Czy widzisz całą nie-odpowiedzialność takiego pytania? Nie odrzuciwszy istnienia Boga, czy możesz pytać o istnienie Boga? A jeżeli nie odrzucasz istnienia Boga, to po co pytasz o istnienie Boga? A jeżeli odrzucisz istnienie Boga, czy wtedy zapytasz o istnienie Boga?

Pytanie: czy Bóg, prawdziwy Bóg istnieje? - jest tak bezpodstawne, tak niefundamentalne i tak niefortunne jak pytanie: czy istnieje Xhzzzwzxqqq?

- Czym jest wymysł? Co to jest? Na czym to polega?

- To właśnie nie polega na niczym. Nie ma podstawy, nie ma bazy, nie ma korzeni. Jak drzewo, które by rosło w powietrzu. Drzewo rosnące w powietrzu, bez zakorzenienia w ziemi jest oczywiście wymysłem. Wymysł nie ma źródła, nie ma początku. Ponieważ nie ma początku, to i nie ma końca.

Istotą wymysłu jest to, że wymyśla sam siebie i że musi manifestować się, bo po to wymyśla się. Wymyśla się, żeby manifestować się; manifestuje się, bo wymyślił się. Przyczyna i skutek pojawiają się jednocześnie, bez kolejności. Skutek przyczyny jest jednocześnie przyczyną przyczyny, a przyczyna skutku jest jednocześnie skutkiem skutku.



Przyczyna jest skutkiem i odwrotnie. Koło nie otwiera się ani nie zamyka, lecz wtacza się od razu zamknięte. Pomiędzy przyczyną a skutkiem tkwi czas, to znaczy fabuła, historia, pamięć, telegraf bez drutu, za pomocą którego przyczyna i skutek wzajem kontaktują się, żeby pocieszać się, żeby oznajmiać sobie, że wszystko gra, niekiedy trochę nie gra, ale to przejściowe, w każdym razie postęp jest, postęp postępuje.

Ponieważ jest to układ zamknięty, wszystko, co jest poza tym układem, jest dla niego absolutnie nieistniejące; istnienie czegoś innego jest absolutnie niemożliwe do wyobrażenia, gdyż wyobrażnia, będąc jednym z elementów tego układu, jest w nim zamknięta, jest swoją własną więźniarką. W tym układzie, w jego wnętrzu mówi się o istnieniu czegoś innego, czegoś nieznanego, ale to nie jest to prawdziwe inne, to prawdziwie nieznanne. Bo oczywiście nie może być. Bo to „inne”, „nieznane”, „tajemnicze”, „boskie”, o czym mówi się w układzie, musi zawierać się, musi zamykać się w kolistych ramach tego układu, w kwadraturze tego koła. To jest tak, jakby w wodach niezmierzonego oceanu życia pływał batyskaf o grubym, szczelnym, nic nie przepuszczającym pancerzu; w ścianie pancerza nie ma wjazdu, nie ma wyjazdu, nie ma okien, nie ma żadnego, nawet domyślnego widoku na wody oceanu. Ten batyskaf nie wie, że jest batyskafem i że pływa w wodach niezmierzonego oceanu życia. Gdyby to wiedział, mógłby z siebie wydostać się. Ale nie wie tego. Nie wie tego, bo nic prawdziwego nie wie. Nic prawdziwego nie wie, bo nic prawdziwego o sobie nie wie. Nie wie o sobie nawet tyle, że nic nie wie. Gdyby wiedział o sobie choć tyle, aż tyle, mógłby z siebie wydostać się. Ale nie wie nawet tego. Nie wie nawet nic, a wydaje mu się wszystko. Wydaje się temu batyskafowi, że jest batyskafem w wodach niezmierzonego oceanu życia (a więc jest w życiu i ten ocean życia eksploruje i poznaje), ale nie widzi, bo nie może tego od środka zobaczyć, że ten jego niezmierzony ocean życia jest w środku batyskafu, jest wnętrzem batyskafu, jest fałszywym niezmierzonym oceanem życia.

W tym układzie istnieje tylko wewnątrz, nie istnieje żadne prawdziwe zewnątrz. Ale istnieje fałszywe zewnątrz i to fałszywe zewnątrz, choć jest wewnątrz, jest dla tego wewnątrz prawdziwym zewnątrz. Wymysł wymyśla się w taki sposób, że jednocześnie (w tej jednoczesności nie ma żywej kolejności, żywego porządku życia) wymyśla siebie i niby-nie-siebie, ale to niby-nie-on jest dla niego realnie nie-nim.

- Dlaczego tak?

- Dlatego właśnie, że wymysł musi manifestować się i manifestuje się właśnie pomiędzy sobą i nie-sobą. To nie-sobą jest niby-nie-sobą, jest sobą, ale wymysł tego nie widzi, bo nie ma na siebie spojrzenia z zewnątrz. Patrzy w lustro i nie widzi, że odbicie w lustrze jest nim. Nie widzi tego, że jest to jego odbicie, bo nie widzi, że patrzy w lustro. Nie widzi, że patrzy w lustro, bo nie widzi, że sam jest lustrem i że ustawione naprzeciw niego lustro jest tym samym lustrem, jednym lustrem. Bo wymysł to jest jedno lustro, które jest dwoma ustawionymi naprzeciw siebie lustrami. Dlatego dwoma lustrami i dlatego ustawionymi naprzeciw siebie, en face, żeby móc trwać, żeby móc manifestować się, żeby móc nieskończenie przeglądać się, podglądać, rozglądać, maskować, opisywać, przepisywać, popisywać, ale nigdy naprawdę siebie w całości nie zobaczyć. Sztuczka iście szatańska. Bo zobaczyć siebie w całości, w pełni, znaczyłoby zobaczyć, że oba lustra są jednym lustrem i że z tej strony i z tamtej strony tego jednego lustra (nie) stoi nikt. Szatan tylko dlatego jest szatanem, że nie widzi, że jest szatanem. Szatan jest najbiedniejszym, najniešťczęśliwszym po-tworem świata. Ku niemu kieruje się cały niezmierzony ocean współczucia, który noszą w sobie jedynie ludzie-nikt.

- Czy kto szuka, znajdzie?



- Kto szuka, żeby znaleźć, znajdzie to, czego szuka. Kto szuka, żeby znaleźć, wie, czego szuka. Kto wie, czego szuka, wcale nie szuka. Kto szuka, żeby znaleźć, już znalazł. Co znalazł? Znalazł to, o czym już wiedział, co już znał, co już w myślach miał. Co znalazł? Nic nie znalazł.

Kto szuka, żeby znaleźć, nie znajdzie. Bo tego, co jest nieznane, co nowe, co całkowicie wręcz inne - nie da się szukać. Tego, co jest prawdziwie godne szukania, nie da się szukać. To, co jest prawdziwie godne znalezienia, może znaleźć ten, kto nie szuka, żeby znaleźć, kto nie szuka: żeby, w celu, dla. Może znaleźć to tylko ten, kto nie szuka, lecz sam jest szukaniem, stanem szukania, pasją szukania, rozdierającą tęsknotą szukającą. Szukającą nie wiadomo czego. Wiatru w polu.

- Niekiedy czuję w sobie jakiś jakby błysk jasności. Jakbym coś wiedział, ale nie wiem co; jakbym coś rozumiał, ale nie wiem co. To nie daje się w żaden sposób zatrzymać ani nie można tego w żaden sposób wywołać czy przywołać. Co to może być?

- To jest, rzecz jasna, błysk. To iskierka, to promyk przebijający się z dna wieków przez wszystkie pokłady głuchych ciemności nagromadzone przez wszystkich będących przed tobą ludzi-Ja, których jesteś skutkiem, będąc tym samym przyczyną tych wszystkich ludzi-Ja, którzy będą po tobie, przez co kopiesz i pogłębiasz od góry piekielną czeluść.

To się nie daje w żaden sposób zatrzymać ani nie można tego w żaden sposób wywołać, bo to jest od ciebie niezależne. To jest od ciebie wolne, a więc to jest prawdziwie wolne. To iskierka, co jest w twoim-nietwoim ciele i w ciele każdej rzeczy na tej ziemi, i w ciele każdej rzeczy na nie tej ziemi, i w ciele każdego pyłku międzygwiezdny, i w ciele tego, co jest pomiędzy pyłkami międzygwiezdny, w ciele tak zwanej próżni, we wszystkim, prócz tego, co nazywa się Ja. To świetlna drobinka, świetlny nieskończenie mały "punkt". Nie ma nic mniejszego. I to jest też największe, bezgraniczne, bez wymiaru. Nie ma nic większego. To jest tak wielkie, że cały dostępny twojej wyobraźni wszechświat nie tylko zmieściłby się w tym, ale byłby w tym obszarze nie do odszukania przez największe teleskopy. Ale nawet tak chytrze o tym powiedzieć to tyle, co nic o tym nie powiedzieć. Cokolwiek o tym powie się, nie jest tym. Bo to jest poza słowami.

To jest poza słowami, poza myślą, poza czasem, poza wiarą i niewiarą, poza przyczyną i skutkiem, poza najwybujałą wyobraźnią, poza najskrytszą, najprzepaścistszą świadomością. To wieczność, cisza: wolne pole do pieśni, źródło słowika i wszystkich cudowności, wszystkich faktów. Źródło mogą zobaczyć oczy niczyje. Oczy niczyje są tym źródłem. Powstanie świata jest rozwarciem powiek oczu niczych. Od tego pierwszego powstania świata zaczyna się wiecznie od nowa powstawanie wiecznie od nowa nowego świata. Wiecznie od nowa powstawanie wiecznie od nowa nowego świata jest mruganiem powiek oczu niczych, nieznuzenie cudownie i niewymownie cudownie tym wszystkim zadziwionych.

- Kto jest autorem tej książki?

- Autorem tej książki nie jest ktoś, nie jest ktoś jeden i nie jest ktoś drugi, lecz coś trzeciego. Można to nazwać stanem tworzącym. Oczywiście ta nazwa to jest tylko nazwa. W każdym

razie nie da się postawić pytania: kto jest autorem tej książki? Da się postawić pytanie: kto ewentualnie podpisze się jako autor tej książki, nie będąc jej autorem?

- Kto ewentualnie podpisze się jako autor tej książki, nie będąc jej autorem?  
- Ty. Ty, Edward Stachura, ewentualnie podpiszesz się jako autor tej książki, nie będąc jej autorem. Wszak ty dźwigasz nazwisko. Tyś jest nazwiskiem dźwigającym garb swojego nazwiska.

- Czym jest kolor?  
- Kolor jest tym dla oka, czym dla ucha dźwięk.  
- Czym tedy jest dźwięk?  
- Dźwięk jest tym dla ucha, czym dla nosa woń.  
- Czym tedy jest woń?  
- Woń jest tym dla nosa, czym dla języka smak.  
- Ale czym jest to wszystko: kolor, dźwięk, woń, smak?  
- Tym, czym ziemia pod stopą.

- Materią?  
- Materią, rzecz jasna.

- Czym jest ruch?  
- Ruch jest materią.  
- Ruch też jest materią? Jak kolor, dźwięk, woń i smak?  
- I dotyk.

- W jaki sposób ruch może być materią? Jaka to materia? Jaki rodzaj?  
- Ruch jest materią pomiędzy przeciwstawieństwami. Przeciwstawieństwa są jednym. W wysokim jest zarazem wysokie i niskie, i odwrotnie: w niskim jest zarazem niskie i wysokie. W ciężkim jest zarazem ciężkie i lekkie, w lekkim jest zarazem lekkie i ciężkie. Miękkie jest miękkie i twarde, twarde jest twarde i miękkie. W gorącym jest zarazem zimne, w zimnym jest zarazem gorące. Tak jest z każdym przeciwstawieństwem. Przeciwstawieństwa są jednym, są jednościami. Można by powiedzieć, że pomiędzy przeciwstawieństwami jest próżnia. Można by zatem powiedzieć, że ruch jest materią w próżni.



- Materia w próżni? Cóż za niesłychany tym razem paradoks! Tyle już tych paradoksów. Istna feeria paradoksów.

- Czekaj. O paradoksach jeszcze pomówimy. Dokończmy na razie o ruchu. Więc ruch, można by powiedzieć, jest materią w próżni. Ale próżni oczywiście nie ma, wszędzie jest materia. Więc podstawiając - w zdaniu: ruch jest materią w próżni - pod próżnię materię, otrzymujemy następujące sformułowanie; ruch jest materią w materii. I to już teraz jest jasne i dokładne.

Powiedziałeś: "Tyle już tych paradoksów. Istna feeria paradoksów". Na to ci się powie: więc czy już nie dość? Iloma jeszcze paradoksami chcesz ozdobić klapy swojej marynarki? To nie są paradoksy. To są kwiaty nieznaney ci rzeczywistości. Ale dla ciebie to są paradoksy, bo dla ciebie to mogą być tylko paradoksy. Dla ciebie to są błyskotki do stroju. Tym bardziej błyskotkowe, im bardziej paradoksalne. Błyskotki, nic więcej.

Posłuchaj. Pytasz o ruch, kolor, dźwięk, pamięć, czas, życie, śmierć, wieczność, mądrość, wolność, prawdę, Boga, największą tajemnicę, jak powstał świat i tak dalej, i temu podobne, i wydaje ci się, że to są właściwe pytania, ale to nie są właściwe pytania. Kiedy - dzięki twojemu wielkiemu cierpieniu - trafiliśmy na siebie, powiedział ci ten, co go masz przed sobą, że może odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania, najbardziej niewiarygodne. Pewnie dlatego windujesz te pytania, które windujesz i które wydają ci się wielkie. Ale naprawdę to one są niewielkie. Wielkie pytania, niebotyczne pytania to te, które dotyczą ziemi, po której chodzisz.

- Jakie na przykład są wielkie pytania?

- Wielkie pytania są te, które tobie niechybnie wydadzą się banalne, wręcz śmiechu warte. Na przykład: dlaczego cię złości, że ktoś siorbie przy spożywaniu zupy? Dlaczego lubisz psy, a nie lubisz kotów lub odwrotnie? Dlaczego mówisz, że wolisz góry niż morze lub odwrotnie? Dlaczego przebywasz z ludźmi, z którymi jest ci przyjemnie, a unikasz jak ognia towarzystwa tych, z którymi jest ci w jakiś sposób nieprzyjemnie? Dlaczego telefonujesz do kogoś ze słowami: „Cześć. Dzwonię, bo mam do ciebie taki jeden interes” i wydaje ci się to naturalne? Dlaczego nigdy nie telefonujesz do kogoś ze słowami: „Cześć. Dzwonię, bo nie mam żadnego interesu”? Dlaczego wydawałoby ci się to nienaturalne? Dlaczego kogoś nazywasz przyjacielem? Dlaczego, kiedy temu - kogo nazywasz przyjacielem - jest źle, ciężko, to pocieszasz go, wspierasz, podtrzymujesz na duszy, wygląda, zechciałbyś mu nieba przychylić, a kiedy ten wydostaje się z biedy i zaczyna powodzić mu się, wcale cię to, dziwna rzecz, nie raduje, lecz, dziwna rzecz, zaczyna drażnić? Dlaczego nie podoba ci się, że twoja żona czy narzeczona uśmiechnęła się do jednego pana na przyjęciu imieninowym? Dlaczego podoba ci się, że czyjaś żona czy narzeczona do ciebie uśmiechnęła się? Dlaczego kupiłeś dziecku kryminalną zabawkę-pistolet? Do czego byłbyś zdolny dla swojej rodziny? Dlaczego nudzisz się, kiedy jesteś sam? Dlaczego czekasz na pewien list? Dlaczego z taką niecierpliwością? Dlaczego w towarzystwie obmawiasz nieobecnych? Dlaczego jadąc pociągiem rozwiązujesz krzyżówki? Dlaczego splunąłeś przez lewe ramię, kiedy czarny kot przebiegł ci drogę? Dlaczego wracając nocą do domu wybierasz dłuższą, okrężną trasę, żeby nie przechodzić opodal cmentarza? I tak dalej, i temu podobne. To są właściwe pytania, wielkie pytania, gigantyczne pytania. Kluczowe. Choć tobie niechybnie wydają się płaskie i głupie. W odpowiedziach na te pytania kryje się rozwiązanie wszystkich twoich problemów i wszystkich problemów świata, i początek nowego, prawdziwego życia. Bo w odpowiedziach na te pytania jest samopoznanie. A nie ma samopoznania w odpowiedziach na te pytania, które ty - sądząc, że to najważniejsze pytania - stawiasz, obojętnie czy udzielane ci przez człowieka-nikt odpowiedzi są opisem mądrości czy kupą wymysłów. Dla ciebie tak czy owak jest to kupa wymysłów, dopóki sam w sobie nie odkryjesz, o czym to wszystko jest, o czym, a zwłaszcza o kim. Takie pytania należy stawiać, na które sam mógłbyś odpowiedzieć. Nikt ci nigdy nie odkryje, kim jesteś, kim jest twoje Ja, którym jesteś. Żadne święte księgi, żaden mędrzec, żaden prorok, żaden nawiedzony, żaden guru, żaden analityk, psychoanalityk,



dogmatyk, pragmatyk, gramatyk i tak dalej. Ty sam i tylko ty sam możesz to odkryć, w sobie odkryć, bo tylko ty sam możesz zaobserwować, jaki naprawdę jesteś. Pytania zatem stawiaj sam sobie i sam sobie na nie odpowiadaj. Nie możesz nic naprawdę poznać, nim siebie nie poznasz, nim nie poznasz poznającego. Niczego nigdy naprawdę nie dowiesz się, nim nie dowiesz się, kim jesteś, kim jest Ja, które chce dowiedzieć się. Bez tego nigdy nic nie będziesz naprawdę wiedzieć, a wszystko będzie wydawać ci się. Wydaje ci się, że zaszedłeś bardzo daleko i bardzo wysoko w poznaniu świata, a ty - nie wiedząc kim jesteś - po prostu nie ruszyłeś z miejsca. To przecież jasne. Jak słońce za chmurami. Trzeba ci poznać chmury, żeby je rozproszyc i żeby odsłonił się widok nad widoki, i żeby mogła objąć i oświecić cię jasność rozumienia.

Cóż z tego, że przeczytasz jeszcze jedną książkę, co wyda ci się głupia lub wyda ci się mądra, lub wyda ci się trochę mądra trochę głupia. Czytaj, ale w którymś momencie podnieś wzrok znad książki i zapytaj wreszcie siebie: „Dlaczego czytam książki? Bo jest to przyjemne spędzenie czasu? Dlatego, że nie podoba mi się emitowany właśnie program telewizyjny albo dlatego, że już skończył się cały program na wieczór i późny wieczór dzisiejszy? Do poduszki przed snem? Dla intelektualnej rozrywki? Żeby zaliczyć kolejne dzieło modnego autora? Żeby wzruszyć się? Żeby ucieszyć się? Żeby zmartwić się? Żeby znaleźć coś mądrego o życiu? Żeby czegoś nauczyć się? Żeby pomieszkać wyobraźnią w innym świecie? Co to właściwie znaczy inny świat? Co to właściwie znaczy inny? Dlaczego czytam książki? Żeby trochę pożyć bardziej interesującym niż moje życie bohaterów książki? Żeby zobaczyć, że pomimo wszystko oni jednak też cierpią tak samo jak ja, a niekiedy o wiele, wiele więcej? Dlaczego takie właśnie książki najbardziej podobają mi się, gdzie niepokoję, rozterki, cierpienia, nieszczęścia, tragedie i krew leje się, i trup pada gęsto jak w sztukach Szekspira? Dlaczego właściwie autorowie opisują takie okropności? Ale przede wszystkim dlaczego ja czytam takie okropności? Dlaczego czytam książki? Bo wszyscy czytają, więc dlaczego ja miałbym nie czytać? Bo mam wolną chwilę i trzeba czymś zająć mi się? Dlaczego muszę zawsze czymś zajmować się? Czy potrafię, czy potrafiłbym przez kwadrans, przez pięć minut, przez jedną minutę nic nie robić i o niczym nie myśleć? Dlaczego nie mogę usiedzieć spokojnie, uleżeć spokojnie, ustać spokojnie? Dlaczego tak nieustannie miotam się? Co to jest to uczucie pustki, które odczuwam, kiedy nic nie robię. Czemu to jest takie nie do zniesienia? Czemu tak boję się tego? Co to jest ta czarna dziura? Czy mogę ją wypełnić otworzeniem książki, włączeniem radia czy telewizora, słuchaniem płyt, telefonowaniem do znajomych, pójściem na brydża czy na pokera, do restauracji na wódkę, do kina, do teatru, do opery, do operetki, na publiczne spotkanie z jakimś artystą, pisarzem, gwiazdą ekranu czy estrady, iluzjonistą, magiem, magikiem, na mecz, napisaniem listu, napisaniem wiersza, modlitwą, wspomnianiem dzieciństwa, marzeniami o przyszłości? Przecież wszystko cokolwiek robię, żeby czarną dziurę wypełnić, zalepić, zakitować kitem sfabrykowanym przeze mnie czy przez innych, wszystko to wcześniej czy później kończy się i ona znowu pojawia się, znowu jest przy mnie. Ta straszliwa czarna dziura. Więc znów mi uciekać? Mam tak uciekać całe życie? Aż do samej śmierci? Bo przecież dalej nie ucieknę. Czy na tym polega życie? Na nieustającej i, okazuje się, zawsze daremnej ucieczce? Na zawsze daremnym, próżnym kitowaniu tej straszliwej czarnej dziury? Może trzeba mi raz zrobić coś innego, nie wiem co, coś czego jeszcze nigdy nie robiłem? Ale co? Co robić? Chyba już wszystko robiłem, zawsze coś robiłem. Zawsze, kiedy tylko czułem, jak zbliża się, jak nadchodzi, jak nadciąga ta straszliwa czarna pusta chmura, ta straszliwa czarna dziura - natychmiast, w te pędy brałem się za jakąś robotę, za pranie, za cerowanie skarpetek, za mycie naczyń, za sprząatanie, za porządki, za cokolwiek, za byle co, za bylewszystko albo wychodziłem z domu i zachodziłem do znajomych, albo szedłem do kina, albo jechałem gdzieś, w kraj, w świat, albo tysiące różnych rzeczy. Nigdy nie dopuszczałem do siebie tej straszliwej czarnej dziury. Zawsze coś robiłem. Jeszcze nie było tak, żebym czegoś nie robił, zaraz... a może właśnie nic nie robić?

Nic a nic. Tak, tego jeszcze zaiste nie robiłem. Więc może właśnie nic nie robić? Absolutnie nic. Nie zagłuszać się, nie chować się za barykadę jakiegoś jakiegokolwiek zajęcia, nie uciekać, nie czmychać. Położyć się albo usiąść i dopuścić do siebie tę straszliwą czarną dziurę, twarzą w twarz, oko w oko. I co? Przestraszę się. Będę chciał uciekać. Ale może chodzi o to, żeby nie uciekać. Zawsze uciekałem i w efekcie nigdzie nie uciekłem. Więc może raz nie uciekać, wytrwać z tą straszliwą czarną dziurą, z nią, przy niej, tuż obok, bardzo blisko, tuż-tuż. Bo przecież, tylko tak mogę zobaczyć, czym ona jest. Co się wtedy może stać? Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć, jeżeli tak naprawdę nigdy jeszcze oko w oko, sam na sam z nią nie byłem? Więc wszystko, co o tym powiem, będzie moim wymysłem, wymysłem mojej wyobraźni, wylęknionej wyobraźni. Bo przecież lękam się. Czy w tej chwili lękam się? Tak, lękam się. Nie ma właściwie na razie powodu do lęku, a ja już lękam się. Czego więc lękam się? Lękam się lęku. Czy to jest normalne: lękać się lęku? Bo jeżeli to jest normalne, to również normalne jest lękać się lęku przed lękiem, a więc również lękać się lęku lęku przed lękiem. I tak bez końca. Nie, to na pewno nie jest normalne. Ale tak rzeczy przedstawiają mi się: wszystkiego boję się. Mam sobie wmawiać, mam oszukiwać się, mam udawać, że tak nie jest? Wszystkiego boję się. I ten najgorszy zawsze strach: przed śmiercią.. Czy można nazywać życiem coś, co nieuchronnie kończy się śmiercią,? Czy można nazywać życiem coś, co jest jednym nieustannym lękiem na wszelkie możliwe sposoby zagłuszonym, nic tylko zagłuszonym, ogłuszonym, odsuwanym na jakiś czas z przejścia, przesuwany z kąta w kąt jak absurdalny mebel, ale ciągle we wnętrzu izby walającym się, nigdy raz na zawsze na śmietnik nie wywalonym? I czy ja w ogóle widzę rzeczywisty świat, jeżeli lękam się, jeżeli lęk zawsze we mnie tkwi jak zatruta zadra, to płytko, to głębiej tak, że powierzchnia - czymś tam w danej chwili znarkotyzowana, znieczulona - nie czuje go, ale on przecież we mnie jest. Ten lęk. Przecież wszystko na co patrzę i wszystko co słyszę, i wszystko co pomyślę - jest moim lękiem skrzywione, spaczone, zdeformowane. Ten świat w moich oczach i w moich uszach, i w moich myślach to zupełnie jak gabinet krzywych luster w wesółych miasteczkach. Z tym tylko, z tym jednym nie do odsunięcia, nie do przesunięcia małym „tylko”, że tam to jest komiczne, a tu tragiczne. Tam to jest zabawa, a tu zagłada. Na pewno wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym nie lękał się. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak wyglądałoby życie bez lęku. Tego, jak to jest, kiedy stoi się sam na sam, bez żadnego oparcia, bez żadnej osłony, oko w oko ze straszliwą czarną dziurą też nie mogę sobie wyobrazić. A może to ma jakiś związek jedno z drugim, jeżeli ani tego, ani tego nie mogę sobie wyobrazić? Może trzeba, może nieodzowne jest przeląć się, przestraszyć, przerazić się, żeby uwolnić się od lęku, wszelkiego lęku i może raz na zawsze? A może ja istotnie jestem lękiem, całym lękiem, jego ofiarą, jego skutkiem i przyczyną? Bo czy lęk istnieje niezależnie ode mnie, oddzielnie? Kiedy nie ma tego kogoś, kto boi się, kto lęka się, czy lęk jako taki istnieje? Kiedy nie ma skutku, czy istnieje przyczyna? To jest przecież oczywiste, to skacze do oczu: lęk beze mnie nie istnieje, beze mnie lękającego się. Więc uwolnić się od lęku znaczyłoby uwolnić się od siebie. A może ja jestem też tą straszliwą straszną dziurą? Bo kiedy nie ma tego kogoś, kto przed nią w popłochu ucieka, kto ją przede wszystkim nazywa straszliwą czarną dziurą, to ona nie ma pola do popisu, ona wręcz nie ma żadnej racji bytu. Więc uwolnić się od niej znowu znaczyłoby uwolnić się od siebie. Ale jak mogę od siebie uwolnić się, jeżeli zaiste nie wiem, kim jestem, skąd wziąłem się i po co, i dokąd zmierzam, jeżeli w ogóle dokądś zmierzam? Musiałbym wpierw siebie poznać, żeby móc potem od siebie uwolnić się. Albo może jest tak, że to poznawanie siebie jest zarazem uwalnianiem się od siebie?"



Czy wysłuchałeś uważnie tego potoku? To był potok tylko słów, ale to nie była maszynka do mielenia słów. To był szczególny potok słów. To nie było mówić, żeby mówić, to było mówić, żeby powiedzieć. Czy mógłbyś tak sam do siebie mówić, sam do siebie powiadać głośno lub "po cichu", w myśli?

- Słuchałem uważnie. To było właśnie zupełnie tak, jakbym mówił, jakbym powiadał sam do siebie, bez żadnej zgrywy, bez niepotrzebnego aktorstwa, w chwili naprawdę głębokiej szczerości.

- Nie mówmy o szczerości. Głęboko szczerze można również nienawidzić i zabijać. Poza tym kiedy zaczyna się mówić o szczerości, natychmiast na horyzoncie wyrasta nieszczerość. Bo to już tak jest. Jedno bez drugiego nie istnieje. Więc lepiej zostaw to, nie przywołuj tego, nie podpieraj się tym. To kij o dwóch końcach. Tu się nie mówi o szczerości. Tu się mówi o uważnym słuchaniu. A więc, posłuchaj uważnie, nie o takim słuchaniu, podczas którego zgadzasz się lub nie zgadzasz się z tym, co słyszysz, bo wtedy słuchasz tylko tego, z czym zgadzasz się, a wszystko inne do ciebie nie dochodzi, nie wchodzi, nie wnika, odbija się jak groch o ścianę. Więc słuchasz wtedy tylko tego, z czym zgadzasz się (lub tego z czym nie zgadzasz się, na jedno wychodzi, jeden diabeł); więc słuchasz wtedy tylko siebie, więc słuchasz wtedy tego, co już kiedyś usłyszałeś, słuchasz swojej pamięci, więc wcale nie słuchasz. Żeby móc, żeby być w stanie słuchać uważnie, jest nieodzowne zrobić miejsce dla tego słuchania, to znaczy być pustym jak suche koryto rzeki przed nadejściem pory deszczów. To się nazywa słuchać uważnie. To się nazywa po prostu słuchać. Czy tak słuchałeś?

- Już teraz nie wiem, czy tak słuchałem, ale myślę, że słuchałem dosyć uważnie. I pytam: co robić, żeby poznać siebie?

- To samo, co robiłeś do tej pory, to samo, ale już jawnie świadomie, w pełni świadomie. Uwaga. Wielka uwaga. Umieścić się w ustawicznej uwadze. A zwłaszcza żadnej próby zmienienia siebie, zmieniania się, mutacji, transmutacji i temu podobne. Żadnej próby dążenia do stawania się kim innym niż tym, którym jesteś.

- Jeżeli zauważę, że jestem na przykład pyszny, mam nie starać się być skromnym? Jeżeli zauważę, że jestem chciwy, mam nie starać się być niechciwym?

- Chcieć być niechciwym jest taką samą chciwością jak każda inna. Chcieć być skromnym, hojnym, godnym, łagodnym, dobrym, świętym, mądrym i co tam jeszcze zostało - tak samo. Każde chcieć jest chciwością. To należy spokojnie zaobserwować, w sobie zaobserwować i dookoła, bez potępiania i bez usprawiedliwiania. Że każde chcieć jest chciwością. Nie ma, nie było i nigdy nie będzie w ludzkości większego odkrycia.

Chcieć być skromnym wcale nie oznacza, że przestało się być pysznym lub że kiedykolwiek pysznym być przestanie się. To są wszystko pułapki, w które bezustannie wpadasz.

- To są pułapki?

- To są pułapki.

- Kto zastawia te pułapki?

- Ty sam. Któżby inny?

- Ja sam zastawiam na siebie pułapki? Po co? Przecież to byłoby kompletnym bezsenssem.

- Bo też Ja jest kompletnym bezsenssem; Ja jest chaosem, ale można by powiedzieć, że jest arcygenialnym chaosem. Zastawia na siebie pułapki, wpada w nie, ale to wszystko istocie jego, esencji jego nie zagraża. Nie zagraża jego trwaniu, jego ciągłości, jego martwej nieskończoności. Cały czas przecież manifestuje się, a tylko o to chodzi. Więc to wszystko, te jego pułapki są wręcz wodą na jego młyn. Zastawia pułapkę, wpada w nią, potem samo z



pułapki wyciąga się i dalej w kółko to samo. To jest oczywiście błędne koło. Ale Ja właśnie jest tym błędnym kołem. Błędne w błędnym kole kołowanie jest jego całym tak zwanym życiem.

Posłuchaj uważnie, po prostu posłuchaj, zrób miejsce dla słuchania i wpuść do siebie to, co ci się mówi. Błędne koło nie widzi, że jest błędnym kołem, bo nie może tego od środka zobaczyć. Zauważa natomiast niekiedy, że coś nie gra w jego maszynerii, słyszy jakiś odgłos, ocenia to jako zgrzyt i to je drażni, więc usiłuje usterkę usunąć, próbuje błąd naprawić. Naprawia, ale po pewnym czasie zgrzytanie znów powraca. Dlaczego? Bo naprawdę nie naprawił błędu. Dlaczego? Bo nie zna siebie, nie widzi siebie w całości, w pełni; nie widzi, że to, co usterkę usuwa, samo jest zepsute; że to, co błąd naprawia, samo jest błędem. Więc czym to wszystko jest? To wszystko oczywiście było-jest-będzie cały czas błędnym kołowaniem wewnątrz błędnego koła.

Posłuchaj uważnie, po prostu posłuchaj; nie myśl, nie rozważaj, nie analizuj, tylko słuchaj. Zauważyć pychę jest rzeczą uwagi, ale "jestem pyszny, źle jest być pysznym" to ocena i zastawienie pułapki. "Jestem pyszny, więc trzeba mi stać się skromnym" - już wpadłeś do pułapki. Posłuchaj. Zauważasz pychę, a więc i własną pychę, i nie poprzestajesz na tym, nie zostajesz z tym, bo jest ci niewygodnie, niemiło, nieprzyjemnie, więc szybko dodajesz: "nieładnie być pysznym, to paskudna cecha charakteru; koniecznie trzeba mi stać się skromnym". Zauważyłeś, co stało się? Już pozbyłeś się niewygody. Bardzo szybko. Wręcz błyskawicznie. Już nie ma: "jestem pyszny", jest: "będę skromny". Już jest poczucie wygody, zadowolenia z siebie, poczucie znalezienia sensu w tym projekcie, w tej autoprojekcji, że będziesz starać się być skromnym, że będziesz starać się stawać być skromnym. I tak naprawdę to wcale nie zdążyłeś zobaczyć, że jesteś pyszny. Naprawdę nie zdążyłeś tego skonstatować. Nie zdążyło ci być niewygodnie. Wcale tego naprawdę nie przeżyłeś, nie chodziłeś z tą niewygodą, nie przechodziłeś jej, nie przeszedłeś jej, nie przecierpiałeś. A tylko to może rozwiązać cały problem. Bo cierpienie ma głęboki sens. Cierpienie jest po to, żeby je przecierpieć i tym samym je przekroczyć. Tak, jak choroba jest po to, żeby ją przechorować, żeby przez nią przejść, jak przez rzekę i - wyzdrowiawszy - zobaczyć, że się jest zdrowym, że się jest na drugim brzegu rzeki. Cierpienie jest chorobą. Cierpienie jest chorobą, przez którą nieodzownie należy przejść, żeby zacząć żyć w zdrowiu. Ale zanim się chorobę zostawi za sobą, jest oczywiście najpierw nieodzowne, niezbędne skonstatować, że jest się chorym. Kiedy jest się chorym, nie można zrobić nic normalniejszego jak skonstatować, że jest się chorym. Jest to, można powiedzieć, jedyna zdrowa rzecz, jaką może zrobić chory: skonstatować, że jest chory. To co przyniatająca większość ludzi chciałaby, to przekroczyć chorobę, w ogóle nie rozpoznając, że są chorzy. Ale wtedy jak mogliby wiedzieć, że są zdrowi? Nie mogliby. W żaden sposób. Nijak. Wiedzieć, że się jest zdrowym to wiedzieć, że było się chorym. Taka jest żywa kolejność i jedyna. Wszystko inne to chaos, nie kończące się pułapki, nie kończąca się samoudręka.

Być pysznym, rozpoznać że jest się pysznym, że jest się pychą i nie pozbywać się jej najtańszym, wręcz darmowym kosztem, czyli pustą obietnicą (pustą, bo gołosłowną), lecz naprawdę być pysznym i zostać z tym, chodzić z tą świadomością jak z garbem, znaczy zobaczyć, czym jest pycha, znaczy przecierpieć pychę, znaczy przekroczyć pychę, znaczy ozdrowieć raz na zawsze z choroby zwanej pychą. Wtedy cały problem rozwiązuje się samorzutnie, sam się zrzuca, rozprasza, rozwiewa (problemy rozwiewają się; problemy nie rozwiązują się, bo nigdy nie zostają naprawdę związane; zobaczenie, że każdy bez wyjątku problem, jest nieprawdziwy, wymyślony, sztucznie zasupłany, jest rozsypłaniem każdego problemu). Lecz ty wymyślasz przeciwieństwo problemu, czyli ideału, czyli w tym przypadku skromność i w tym przeciwieństwie, w tej skromności pycha oczywiście tkwi dalej. Bo kto wymyśla ideał? Kto wymyśla skromność? Wymyśla ją ktoś, kto przecież jest pyszny. Co człowiek pyszny może wiedzieć o prawdziwej skromności, co nie jest przeciwieństwem

pychy, co nie jest żadnym ideałem, lecz realną prostotą, czymś tak naturalnym i oczywistym, że nie potrzebuje nazywać się skromnością czy jakkolwiek, czymś co w ogóle nie mieści się w nazwie, w słowie, bo jest naturalnością pozasłowną? Co człowiek pyszny może o tym wiedzieć? Nic nie może wiedzieć, bo gdyby wiedział o tym choć drobinę, choć kruszynę, nie byłby pysznym, byłby prawdziwie skromnym. Nic o tym nie wie i dlatego jest pyszny, i dlatego może jedynie wymyślić przeciwieństwo pychy, czyli fałszywą skromność, czyli tę skromność, co musi być określona mianem skromności, gdyż bez nazwy, bez imienia - nie istnieje, czyli tę skromność co jest jedynie słowem, pustym słowem, czyli tę skromność co jest - summa summarum - pokarmem pychy.

Bo każde przeciwieństwo karmi się swoim przeciwieństwem. Każdy z obydwu członów tej struktury nie mógłby w pojedynkę, samotnie, bez swojego przeciwieństwa trwać. Zmarłby po prostu śmiercią głodową. Razem zaś jest to układ wzajemnie pożerający się i tym samym wzajemnie zasilający się. Wąż trzymający w paszczy własny ogon. Tyle, ile paszcza pożera ogon, o tyle samo ogon rośnie. Tyle ubytku, ile przybytku. I odwrotnie. Nic nowego, więc nic. To jest właśnie błędne koło. To jest właśnie ta psycho-para maksymalnie odpychająca się i maksymalnie przyciągająca się. Dwa bieguny jednego psycho-magnesu. Psycho-elektryczne plus i minus. Jednego bez drugiego nie ma. I o to właśnie chodzi. To właśnie może być zobaczone i tym samym rozproszone. Pycha bez skromności znika. Tak jak chciwość bez skromności, tchórzliwość bez odwagi, małoduszność bez wielkoduszności, nieszczerłość bez szczerłości, smutek bez pociechy, nienawiść bez afektu, okrucieństwo bez litości, gwałt bez nie-gwałtu i tak dalej, i tak dalej, czerń bez bieli, a demon bez anioła. I o to właśnie idzie. O nie-działanie idzie. Jeżeli jesteś pyszny, czy chciwy, czy tchórzliwy, czy brutalny, czy rasista, czy tym wszystkim razem (jesteś tym wszystkim razem, jeżeli jesteś zarażony choćby jedną z tych cech), to bądź tym? Bądź tym, czym jesteś. Naprawdę bądź. Bądź tego świadomy i zostań z tą świadomością, choćby ci ona bardzo dokuczała, choćby ci przez nią było bardzo niewygodnie (ta niewygodność jest błogosławiona). Bo tylko jedynie tak przedrze się przez ciebie i dotrze do ciebie, do szpiku twojego jestestwa, i zaboli cię, mocno zaboli, śmiertelnie zrani cię, i tym samym zobaczysz, czym jest pycha, czym jest chciwość, czym jest rasizm, czym jest gwałt i przemoc. I wyzwolisz się z tego raz na zawsze, bo będziesz już wiedzieć raz na zawsze, że straszne być pysznym, straszne być chciwym, straszne być rasistą, straszne być brutalnym. Nigdy już tym nie zranisz drugiego człowieka, bo będziesz wiedzieć, jak bardzo to może zabołać drugiego człowieka, bo będziesz wiedzieć, jak ciebie bardzo to zabiło. Nie wymyślaj przeciwieństw, czyli nie karm i nie pój, a wszystko to umrze śmiercią głodową. Jak kolec odcięty od krzaku róży.

Nie staraj zmienić się, bo nie zmienisz się. A dlatego nie zmienisz się, bo nie możesz zmienić się. A dlatego nie możesz zmienić się, bo naprawdę to nie ma w całym tobie (i nie może być) tej intencji, żeby radykalnie, od samych korzeni zmienić się. Ta chęć zmiany twojego życia, która pojawia się od czasu do czasu w jednej z twoich myśli, jako jedna z twoich myśli (nigdy wtedy, kiedy jest ci dobrze, zauważ to, a tylko wtedy, tylko niekiedy wtedy, kiedy jest ci źle, kiedy cierpisz) nie ma nic wspólnego z tym, co można by nazwać intencją zmiany radykalnej; zmiana nieradykalna nie jest żadną zmianą, to tylko zmiana wystroju, dekoracji, przestawienie mebli w tym samym wnętrzu. Co znaczy zmiana? Zmiana to nie jest zmiana od znanego do znanego. Jeżeli wiesz, czym chcesz stać się, już tym jesteś; wcale nie stajesz się tym, wydaje ci się to, ty już tym jesteś. Zmiana znaczy zmianę od znanego do nieznanego. Ale czym to nieznanie? Otóż nic o tym nie wiesz. A więc nie możesz dążyć do stawania się tym. Czyż to nie jest oczywiste? Dla ciebie nieznanie nie istnieje. Dla ciebie zmiana radykalna nie istnieje. Nie możesz zmienić się. Ja nie zmieniam się. Ja jest Nieśmiertelnym Konającym. Nawet Ja człowieka-nikt, jeżeli wychodzi z grobu, nic nie jest zmienione i może to powiedzieć tylko człowiek-nikt, i to człowiek-nikt ci to mówi. Z tym, z tą różnicą (i jest to tutaj różnica radykalna), że w człowieku-nikt Ja jest jedynie fragmentem



czegoś, co można nazwać człowiekiem-trzy, człowiekiem-trójką, i jest to fragment w pełni świadomy siebie, który siebie zna, który wie, czym jest: fragmentem. I wie, że jeżeli wychodzi w trójce na pierwszy plan, wtedy trójka znika. Bo to jest tak, że jeżeli uwaga, czyli żywy człowiek, nie odsyła z powrotem trupa do grobu, gdzie jest jego prawdziwe miejsce, wtedy trup odsyła do grobu żywego, zakopując go tam żywcem. Oto co znaczy nie doceniać trupa, którego się miało za pokonanego. Oto co znaczy utracić uwagę. Utracić uwagę, to ni mniej ni więcej utracić wszystko, całą wieczność. I oto dlaczego człowiek-nikt jest tak uważny, tak olśniewająco żywy.

Ale wróćmy do ciebie, który siebie nie znasz. Wróćmy do ciebie, bo to ty tutaj jesteś jedyną ważną osobą. Bo to ty cierpisz. Człowiek-nikt jest tu tylko dla ciebie. Nie możesz zmienić się. Ty, jako ty, z niczego co twoje nie chcesz zrezygnować. Nawet ze swoich kolców. Ty byś tylko chciał, żeby cię one nie kłuły. Innych natomiast ludzi one mogą kłuć, byle ciebie nie. Ciebie to znaczy też niekiedy wszystkich tych, których nazywasz swoimi bliskimi: rodzinę, przyjaciół i tak dalej. Kiedy wnikniesz w to głęboko, kiedy przypatrzysz się temu z bliska, z bardzo bliska, z własnym kolcem w własnym sercu - zobaczysz, że tak jest. Przerazisz się samego siebie, ale zobaczysz i tym samym wyzwolisz się. Zobaczysz też, że naprawdę nie chcesz zmienić się, to znaczy że nie chcesz żadnej istotnej, fundamentalnej zmiany, o czym dobitnie świadczy między innymi to, że głębsze, skryte pokłady twojej świadomości wymyślają przeciwieństwa, które przecież niczego nie zmieniają, z czego twoja świadomość wierzchnia nie zdaje sobie sprawy. Nie zdaje sobie sprawy, nie uświadamia sobie siebie, że zmienia się tylko nazwa, nalepka, etykieta, szyld, słowo, fasada, czyli nic nie zmienia się, wszystko jest dalej tak samo. Jest gorzej, bo bardziej schowane, bardziej zakamuflowane, trudniejsze do odczytania, do zdemaskowania. Zmiany nie ma. Zobaczyć, czym jesteś, poznać siebie, to jest zmiana. Jedyna możliwa i jedyna prawdziwa.

Każdy prototyp, archetyp, model, wzór do naśladowania, do powielania, do powtarzania, każdy ideał jest obłudą, hipokryzją, gwałtem zadawanym temu, co jest tu-i-teraz, w tym sensie, że odciąga uwagę należną temu, co jest tu-i-teraz, a więc uniemożliwia zobaczenie i zrozumienie tego tu-i-teraz. Wtedy to prowadzi się podwójne życie, czyli w ogóle nie żyje się. Jest się pomiędzy niezobaczonym, nieusłyszanym, nieprzeżytym tu, a idealnym, nieosiągalnym, bo nieistniejącym, bo wymyślonym tam. Czyli jest się nigdzie. Tym "dążeniem" od "tu" do "tam" prokurujesz sobie poczucie rzeczywistego istnienia i poczucie sensu. To poczucie, ta iluzja jest całym twoim tak zwanym życiem. To jest właśnie trwanie, ciągłość, martwe życie, martwa śmierć, psycho-skamieniałość toczona przez robaka rozkładu, który toczy wszystko to, co trwa, a więc nie żyje, a więc co trwałe nie jest. To jest właśnie błędne koło. Więzienie bez wyjścia. Ultrasuperhiper Sing-sing. Fałszywy ruch błędnego koła może zatrzymać (zobaczyć) tylko obserwacja, samoobserwacja, czyli odkrywanie w sobie oczywistości. Żadne potępienie siebie i innych, usprawiedliwianie siebie i innych, analizowanie, psychoanalizowanie, dyskutowanie, ocenianie, opiniowanie, osądzanie, odsądzanie, odcędzanie, wyciąganie wniosków, konkludowanie, spowiedź, szczerza skrucha, szczerze postanowienie poprawy, komunizm i dalej to samo, to samo błędne koło, ta sama błędna rewolucja, czyli zatoczenie pełnego koła i powrót do punktu wyjścia, repetycja, repetycja, repetycja ab ovo usque ad mortem defecatum. Tylko obserwacja. Żadna yoga, koncentracja, samousypianie się, samoumartwianie się, dyscyplina, masochizm, sadyzm, egzorcyzmy, uciekanie z tego świata na pustynię, do pustelni, do wieży z kości słoniowej, do sekty takiej, czy takiej, czy jeszcze takiej, nieważne jakiej, bo wszystkie jednakie. Tylko obserwacja. Bo ona jedynie jest naga; wszystko inne jest strojem, czyli ubiera, przebiera, maskuje Ja, umacnia, fortyfikuje, ekwipunkuje Ja, porusza błędne koło obłądnego młyna. Błędne koło może zatrzymać (zobaczyć) tylko czysta obserwacja. Bo ona jedynie nie ocenia, a więc nie zastawia pułapek. Ty oceniasz, obserwacja nie. Że nie ocenia, dlatego może być nazwana obserwacją.



- Ale kto ma obserwować? Kim jest obserwacja, która nie ocenia?

- Obserwacja nie jest kimś. To nie jest superJa obserwujące Ja. To też pułapka i to nagminna. Obserwacja to stan. To nie jest ktoś. Dlatego nie da się zapytać: kto ma obserwować? Nie da się zapytać: kim jest obserwacja, która nie ocenia? To nie jest ktoś. To jest stan. Całkiem jak inne stany. Zauważ - a propos - że najpierw jest stan. Powiedzmy stan lęku, bo jest to stan występujący w świecie ludzi najczęściej i będący w ciągłej ekspansji. W pierwszej chwili - zanim od tego stanu nie oddzielisz się jako Ja lękające się, zanim tego stanu nie nazwiesz, powołując się tym samym (i czas) do istnienia, do pocucia istnienia - jest tylko stan, stan lęku, ale jeszcze lękiem nie nazwany, więc tylko stan, bez nazwy, więc to nie jest lęk. Nie ma wtedy pytania: kto lęka się? Dlaczego nie ma wtedy tego pytania? Bo nie ma tego, kto mógłby je zadać. Nie ma zatem odpowiedzi: ja lękam się. Jest tylko stan. I, jak to być może zauważyłeś, w pierwszym momencie jakiegoś nagłego stanu (lękowego, ale tego jeszcze nie wiesz), w pierwszym nagłym wzdrygnięciu się, podskoku, okrzyku, które nie są formami strachu, lecz reakcjami żywego ciała - nie lękasz się. Zauważ to, jeżeli tego jeszcze nie zauważyłeś; to jest do zauważenia i jest bardzo godne zauważenia. Nie lękasz się, bo cię po prostu nie ma, jesteś nieobecny, więc kto miałby lękać się? I czego miałby lękać się, jeżeli nie ma lęku? Kto, czego i dlaczego miałby lękać się? Ułamek sekundy "potem" wymyśla się myśl, twoja myśl, ty; oddzielasz się od stanu, nazywasz go, określasz jakimś zaczerpniętym ze studni pamięci mianem i w ten to sposób mamy: Ja i stan, Ja i lęk, albo: Ja i gniew, Ja i pożądanie, czyli Ja i nieJa. To przepołowienie, to rozplatanie jak siekierą drwa jedyńki na dwójkę, jednego na dwa, ten podział na Ja i nieJa, czyli na Ja i resztę świata jest twoim nieszczęściem, jest twoją zagładą, jest wulkanem - górą lodową wszystkich bez wyjątku konfliktów, które tobą w mniej lub bardziej okrutny sposób targają, wstrząsają, pomiatają i, wcześniej czy później, zatapiają.

To wszystko widzi obserwacja. Obserwacja widzi więc - co oby cię niepomierne zadziwi i oby przerazi, i oby na ułamek sekundy zatrzyma w samobójczym pędzie - że ty sam, nikt inny, lecz ty sam jesteś tego wszystkiego przyczyną i skutkiem. Jesteś ofiarą samego siebie. Jesteś swoim własnym katem. A wszystko przez podział na Ja i nieJa. Wszystko z tej przyczyny i w wyniku tego. Pojawiasz się, wymyślasz się, żeby cierpieć, mniej lub bardziej, z chwilowymi, mniej lub bardziej krótkotrwałymi okresami ulgi, to nie ma istotnego znaczenia. Ulga nie może być nigdy istotna, choć takie wyrażenie jak "istotna ulga" znajduje się w słownikach frazeologicznych, a także takie jak "chwalebny nawyk", "twórczy niepokój", "okrutny los", "wolność wyboru", "zdrowie psychiczne", "gorzka prawda" i dziesiątki, setki, tysiące innych wyrażeń i zwrotów jednakowo nielogicznych, kompletnie chaotycznych.

Pojawiasz się, żeby cierpieć. Wszystkie twoje książki są tego wstrząsającym dokumentem. Bardziej wstrząsającym niż panoramiczne opisy najkrwawszych bitew. Bo ty przynajmniej opisywałeś cierpienia własne; nie uciekałeś od opisu cierpień własnych do opisu, wymyślonych czy prawdziwych, cierpień cudzych. Ale nie pocieszaj się w tym sensie, że pomimo wszystko znalazło się w tobie coś jednak pozytywnego. Nie mogłeś inaczej. To nie twoja zasługa, to prawość. W tych książkach, tu i ówdzie, i wcale nierzadko, ocierałeś się o coś, muskałeś coś, co nawet nie wiesz, czym jest, a co jest rozumieniem. Ale ty nawet nie wiesz: co, gdzie, kiedy i jak o to ocierałeś się. Ocierałeś się o rozumienie wtedy, kiedy nie było cię. I to znowu musi dla ciebie brzmieć paradoksalnie. Bo to nie ty ocierałeś się o rozumienie, lecz właśnie prawość. I intuicja. Intuicja jest w domenie intelektu tym, czym jest prawość w domenie uczuć. Intuicja i prawość to dwie jedyne w tobie rzeczy od ciebie niezależne. Te dwie rzeczy to jedna rzecz. To cielesność, organiczność, fizyczność, materialność. Intuicja jest nieskończenie małą szpilką w głowie, prawość jest nieskończenie wielkim kamieniem na sercu.

Pojawiasz się, żeby cierpieć i tym samym (czy chcesz tego, czy nie) cierpienie świata mnożyć. Twoje zaistnienie jest cierpieniem, bo nie jest prawdziwym istnieniem, lecz jedynie

poczuciem istnienia, poczuciem istnienia osobowego, osobnego, odrębnego, szczególnego, wyjątkowego, ekskluzywnego, prywatnego. Prywata istnienia to twoje nieszczęście. Ale niestety nie tylko twoje, lecz także tych wszystkich, których tym rakiem zarażasz. Istnienia prywata - zagłada dla świata. Transparentu z takim hasłem nie zobaczysz nigdzie na tej planecie ani w żadnym zakamarku wszechświata, gdziekolwiek pojawisz się. Wszędzie tylko Ja, Ja, Ja. Albo My, My, My, co jest niczym innym jak Ja pomnożonym przez sto, przez tysiąc, przez milion, miliard, biliard. Martwa monotonia nie poruszona najdrobniejszym powiewem ożywczego wiatru. Ani jednego oddechu prawdziwego życia, a tylko jakieś żalosne, rozpaczliwe, tragiczne poczucie czegoś, nazywane życiem i kończące się wcześniej czy później tam, gdzie jest miejsce martwoty: na cmentarzu. A wszystko przez podział na Ja i nieJa. W prawdziwym życiu, w rzeczywistości nie ma tak, że jest Ja i nieJa. W rzeczywistości wszystko jest jedną niepodzielną jednością. Wydaje ci się (bo wszystko wydaje ci się, bo siebie nie znasz), że jest Ja i nieJa, czyli Ja i reszta świata. Tak nie jest. Kiedy jesteś ty, jesteś tylko ty. Kiedy ty jesteś, ty jesteś wszędzie. Dla ciebie naprawdę nic poza tobą nie istnieje, bo nie może istnieć, bo nie ma dla tego miejsca. Bo kiedy ty jesteś, ty zajmujesz całą przestrzeń, kneblujesz sobą cały kosmos. Cały kosmos dla ciebie jest tylko kinem i ty jesteś tym kinem, i zasiadasz na wszystkich miejscach w sali kinowej, gnieźdźsisz się wszędzie, w przejściach między rzędami, na ścianach, na suficie, w powietrzu, we wszystkich szparach, w sali projekcyjnej, w kamerze filmowej, na taśmie, na całym ekranie, w megafonach, wszędzie, wszędzie. W tym straszliwym tłoku, w tym kłębowisku chaosu nie ma ani milimetra kwadratowego, ani mikrona sześciennego dla czegoś, co nie byłoby tobą, co nie miałoby jakiegokolwiek bliższego czy dalszego z tobą związku, co byłoby inne, nieznane, nowe.

Tak więc, kiedy jest Ja, nie ma nic więcej. Jest tylko Ja. Całkowicie tylko Ja. I to Ja wymyśla, że jest coś poza nim, jakieś nieJa, jakiś świat, jakaś rzeczywistość. I to Ja bada, mierzy, waży, liczy, dodaje, odejmuje, sumuje, dzieli, mnoży, pierwiastkuje, potęguje, różniczkuje, całkuje - co? Siebie! Ale przecież nie zna siebie! Przecież nie wie, czym jest! Więc czym to wszystko jest? Jakim mianem, jakim zwrotem, jakim wyrażeniem można to wszystko określić? Ty jesteś Nomenklatura, ty jesteś Nazewnictwo, ty jesteś Bóg-Słowo, więc próbuj nazwać to sobie.

- Co to znaczy dać się ogarnąć przez stan obserwacji?

- Oto i wreszcie konkretne pytanie, pytanie bezcenne, pytanie, które może być cudotwórcze, które może dotknąć życia, jeżeli dasz się ogarnąć przez stan odpowiedzi na to pytanie. Dać się ogarnąć przez stan obserwacji znaczy zaobserwować, że nigdy nie obserwujesz czysto, nago, bez oceny, znaczy zdać sobie sprawę, że tego po prostu nie potrafisz, znaczy zdać sobie sprawę, uświadomić sobie, że nie potrafisz niczego obserwować w oderwaniu od siebie, znaczy zaobserwować, że zawsze oceniasz wszystko, co obserwujesz i że zawsze wybierasz ocenę, i - co za tym idzie - postępowanie dla siebie najkorzystniejsze, choćby bardzo iluzorycznie wyglądało niekiedy, że jest inaczej, na przykład, że dla kogoś czy dla czegoś poświęcasz się. Nazywając to poświęceniem, już dekorujesz się, już przypinasz sobie order do klapy marynarki, już masz swoją zapłatę. Poświęcasz się dla kogoś lub czegoś, bo to właśnie najbardziej ci odpowiada; tak to oceniłeś i tak postąpiłeś; doprowadziłeś do wyboru i wybrałeś. Postępujesz zawsze tak, jak oceniasz, a oceniasz zawsze i zawsze dla siebie najwygodniej, najbezpieczniej lub najchwalebniej, lub jeszcze inaczej, ale zawsze dla siebie najkorzystniej.

- Są sprawy, których nie oceniam.



- Zaobserwuj, że nie oceniasz ich dlatego, że najkorzystniej jest ci właśnie ich nie oceniać. Zaobserwuj, że ocenić te sprawy, "których nie oceniasz", byłoby dla ciebie czymś bardzo niewygodnym, bardzo niezręcznym, nieprzyjemnym, byłoby czymś, co mogłoby tak mocno tobą potrząsnąć, że mógłbyś zlecieć ze stołka, krzesła, fotela, szeszlona, katedry, tronu czy z podróżnego worka, gdzie najwygodniej jak to możliwe ustawiłeś się, usadowiłeś, ułożyłeś. Byłoby czymś, co mogłoby zetrzeć w proch i w pył twój mały, przytulny, swojski kącik, gdzie zachomikowałeś się i gdzie rozkładasz się dosłownie i dosłownie, gdzie komponujesz się literacko i dekomponujesz literalnie. Zauważ, że zdajesz sobie z powyższego sprawę, a jeżeli nie zdajesz sobie sprawy (częściowo), to dlatego, że w taki czy owaki, wieloraki sposób otumaniałeś się, ogłuszyłeś, ogłupiłeś, uspiłeś, upiłeś, to znaczy zepchnąłeś te sprawy z jawnej, trzeźwej świadomości do skrytej świadomości (tej, co właśnie potrzebuje upijać się, żeby ujawnić się), żeby cię nie drażniły, nie uwierały, nie kłuły i że zrobiłeś to na pewno świadomie, a więc oceniłeś te sprawy, o których mówisz, że ich nie oceniasz; oceniłeś, że najwygodniej będzie właśnie ich z bliska nie oceniać. Ty sam powiedziałeś wszystko, co powyżej, w chwili gdy oznajmiłeś: "są sprawy, których nie oceniam". Widzisz, słyszysz, ile się słyszy, kiedy się słucha? Słuchać to słyszeć, słyszeć to widzieć, widzieć to wiedzieć, wiedzieć to być. A nie wiedzieć znaczy nie być.

Oto co znaczy dać się ogarnąć przez stan obserwacji. Nie da się wskoczyć na samego siebie. We wskakiwanie na samego siebie zabawia się ktoś tam w książce pod tytułem "Chatka Puchatka", ale to jeszcze jeden wymysł. Ten wymysł mógłby jednakże być nad wyraz pożyteczny, nad wyraz pouczający, gdyby nad wyraz zaintrygował czytelników tej książki, a także jej autora. Nad wyraz pouczający w tym sensie, że poważnie pochyliwszy się nad nim można by skonstatować, że nie da się tego zrobić. Żaden człowiek-Ja, choćby najgenialniej skoczny, nie jest w stanie tego numeru odstawić, tej sztuki dokonać. Powyższego ty nie możesz powiedzieć, bo nie możesz tego zobaczyć. Nie możesz zobaczyć, że nie możesz wskoczyć na samego siebie. Gdybyś mógł to zobaczyć, równałoby się to temu, że wskoczyłeś na samego siebie. Ale tego ty nie możesz od środka, z wewnątrz zobaczyć. Może to zobaczyć tylko jedynie obserwacja, stan obserwacji, nie ktoś obserwujący (obserwator jest jednym, jest tożsamym z obiektem przez siebie obserwowanym, więc jest w środku układu, jest w więzieniu bez wyjścia), więc nie obserwator, lecz stan obserwujący, o czym nie da się powiedzieć, że jest to ktoś, choć ktoś jest w tym stanie, ktoś tam prę-"egzystuje". Czysta, naga, pozytywna obserwacja - pojawiająca się tam, gdzie "obserwacja" oceniająca, strojna, negatywna doprowadziła się do istnego kresu - może zobaczyć, że nie można wskoczyć na samego siebie. I to zobaczenie, ten bezstronny a wszechstronny rzut oka niczyjego jest wskoczeniem na samego siebie. Jest zatrzymaniem, a raczej rozwianiem się błędnego koła. Jest całkowitym rozproszeniem się, całkowitym zanikiem bezwyjściowego więzienia. Jest samoodmyśleniem się tego, co samowymyśliło się. Jest wyzwoleniem od wszystkich, wszystkich, wszystkich i raz na zawsze cierpień. Jest przeżyciem śmierci, która jest początkiem żywej nieśmiertelności.

Posłuchaj uważnie, po prostu posłuchaj; nie myśl, nie rozważaj, nie wyobrażaj sobie, nie wysilaj się, nie opieraj się, nie odtrącaj, nie akceptuj, nie obiecuj sobie, nie przygważdżaj, nie krzyżuj nadzieją czy wiarą żadnego ze słów, co tutaj padają, lecz tylko słuchaj, zwyczajnie, normalnie, naturalnie tak, jakbyś słuchał morskich fal bijących o wybrzeże albo gdzieś w głębi lądu ciszy przed burzą, a potem turlającego się przez chmury gromu i pierwszych kropel deszczu padających i wnikających w wyschlą, spękaną, spragnioną nasienia nieba ziemię, i szumu wiatru w listowiu krzewów, i drzew. Nie słuchasz tego wszystkiego i dlatego nie możesz usłyszeć. Słuchasz hałasu swoich myśli, przechwałek swoich sukcesów, lamentu swoich porażek, szelestu banknotów, brzęku monet, plotek i wszelkich innych rozrywkowych zwrotek, Jesteś ogłuszony tą straszliwą kakofonią i dlatego nie słuchasz życia. Słuchaj, a usłyszysz; patrz, a zobaczysz; dotykaj, a dotkniesz. Po co, uważasz, uszy są? Po co, uważasz,



oczy są? Po co, uważasz, dłonie są i wszystko? Ku usłyszeniu. Ku zobaczeniu. Ku dotknięciu. Ku rozumieniu. Po co, uważasz, śmierć jest? Ku życiu. Co możesz wiedzieć o życiu, nie wiedząc, czym jest śmierć? Nawet nie nic. Co możesz wiedzieć o śmierci po śmierci (po tej śmierci, którą ty nazywasz śmiercią)? Nawet nie nic. Więc jedna jedyna rzecz: umrzeć przed śmiercią, umrzeć za życia. Przeżyć śmierć i już nigdy nie umrzeć.

Przed wszystkimi podróżami: w Bieszczady, na Jukatan, do Patagonii, dookoła świata, na biegun północny, południowy, na Księżyc, na Marsa, na Wenus, dokądkolwiek, przed wszystkimi tymi podróżami - jest jedna prawdziwa podróż i absolutna: w głąb siebie. Głową w dół do krateru, na samo dno wulkanu. Żeby umrzeć. Ale nie tak, jak umiera się nagminnie i stołecznie; z przerażającym, paraliżującym lękiem i z nadzieją czy z wiarą, że wymyślony Bóg wskrzesi w końcu końców dla duszy to samo ciało i że to jeszcze raz będzie nazywać się Edward Stachura (w życiu w ogóle nie ma czegoś takiego jak: Edward Stachura i czegoś takiego jak: jeszcze raz; jeszcze raz Edward Stachura - to powtórka martwej lekcji). I nie tak, że z okna czy z dachu, czy z wieży na bruk, czy z mostu do rzeki, czy odkręcaniem kurka od gazu, czy żyłką po żyłach, czy w jakikolwiek podobnie tragiczny sposób nie rozumiejąc, czym jest okno, dach, wieża, bruk, most, rzeka, kurek od gazu, gaz, żyły, żyłka i przede wszystkim Ja, które popełnia samozabójstwo. Więc nie tak. Lecz prawdziwie, bez lęku, całkowicie bezboleśnie, a wręcz z wielką, cudotwórczą, poznawczą radością. Naturalnie, spontanicznie i całkowicie. Nie tak, żeby w jakiś sposób dalej trwać. To, co trwa, nie jest trwałe, jest nietrwałe. To, co trwa, może jedynie nieskończenie trwać i nieskończenie gnić. To, co trwa, nie umiera, a więc nie może się urodzić. To, co trwa, jest czasem i jest zawsze stare. Stare zawsze było stare i wszystko co może, to nieskończenie starzeć się; nie było nigdy młode i nie może być nigdy młode, nigdy nowe, bo przekleństwem tego jest, że nie może umrzeć. Bo trwa i nie może przestać trwać, bo istotą tego, esencją tego, ropą tego jest trwanie; nie ma końca i nie ma początku. Niekończące się gnienie - oto czym jest idea Ja. Nieśmiertelna Agonia - oto czym jest to, co ty nazywasz Duszą Nieśmiertelną. To nazywa się piekło. I to jest piekło. Tak poszukiwane, tak upragnione perpetuum mobile. Lecz fałszywe, bo bez sprawczego początku, a więc nigdy naprawdę nie wprowadzone w prawdziwy, żywy ruch.

W śmierci zaś są narodziny. Śmierć i życie są jednym. Ale żywa kolejność, żywy porządek życia jest: najpierw śmierć, potem życie. Nie ma odwrotnie. To wieczność wiecznie umierająca i dlatego wiecznie się rodząca, i dlatego wiecznie nowa, wiecznie dziewicza, wiecznie nowe tu-i-teraz. Śmierć i życie są jednym. Kto rzuci się w podróż w głąb siebie i pozna siebie, i umrze dla siebie, kto dosięgnie dna, dostąpi dna, własnego dna, ten tylko się odbije od tego dna w górę i wyskoczy z nieskończenia martwej przepaści czasu, ten tylko zobaczy pierwszy fakt, będąc tym faktem; zobaczy początek wieczności, będąc wiecznością; zobaczy niewypowiedziane źródło, będąc tym źródłem; zobaczy oczy niczyje, będąc oczami niczymi; i narodzi się człowiek-nikt, a z nim prawdziwie narodzi się wszystko, i będzie żyć wiecznie, bo będzie rozumieć. Bo rozumieć - to nie lękać się śmierci, nie lękać się śmierci - to przeżyć śmierć, przeżyć śmierć - to nosić w sobie swojego trupa, nosić w sobie swojego trupa - to być nieśmiertelnie żywym.

- Jak długo żyję... lub wydaje mi się, że żyję, trzydzieści dziewięć lat, nie słyszałem nigdy czegoś tak niesamowitego. To wszystko jest, nie wiem, nie wiem, jakieś przerażające, ale jeszcze bardziej jakieś niewiarygodnie piękne, może zbyt piękne, żeby mogło być realne. To jest tak wstrząsające, że po prostu zatyka mi oddech w piersiach. Ale to jakaś utopia, to niemożliwe.

- Jeżeli, jak mówisz, zatyka ci to oddech w piersiach, to po to, żeby ten oddech prawdziwie zakwitł niepowtarzalnym, nigdy nie więdnącym kwiatem. Jak cała naocznie widoczna ta ziemia, jak całe naocznie widoczne to niebo.

Powiedziałeś też: „ale to jakaś utopia, to niemożliwe”. Otóż nie możesz powiedzieć o tym, że jest to niemożliwe, i nie tylko o tym. O żadnej rzeczy nie możesz powiedzieć, że to utopia, że to nierealne, że to niemożliwe. Słyszysz dobrze? O żadnej rzeczy.

- Dlaczego? Czyż nie mogę na przykład powiedzieć, że jest niemożliwe, aby człowiek w normalnych warunkach, oczywiście, nie wypreparowanych, chodził do góry nogami po suficie jak mucha?

- Ten przykład tak, jakby chciał kogoś albo coś ośmieszyć, tyle że nie wie kogo ani co. Ale przykład jest dobry. Każdy przykład jest dobry, jeżeli jest to przykład. A im drastyczniejszy, tym świetniejszy, bo przeskakujący jednym skokiem ponad całym szeregiem przykładów "dobrze wychowanych, comme il faut, grzecznych, słodkich, konfiturowych" - dających się łatwo rozsmarować, rozmazać przez ludzi, którzy nie lubią, kiedy im coś przeszkadza w bogobłogim trawieniu. Ale do rzeczy. Więc nie możesz powiedzieć, że jest niemożliwe, żeby człowiek w normalnych warunkach chodził do góry nogami po suficie jak mucha. Możesz powiedzieć: nie wiedziałem, nie słyszałem, nie wyobrażam sobie tego, nie wierzę, żeby to było możliwe i tak dalej, i temu podobne; możesz napisać o tym cały traktat, ale w tym traktacie pod tytułem "O chodzeniu człowieka do góry nogami po suficie jak mucha" - nie może być zdania konstatującego, że jest to niemożliwe.

- Ale dlaczego?

- Posłuchaj. Żeby móc powiedzieć o czymś, o czymkolwiek, że to coś jest niemożliwe, musiałbyś oczywiście najpierw stwierdzić, skonstatować, że to coś jest możliwe; ale gdybyś stwierdził, że to coś jest możliwe, oczywiście już nie powiedziałabyś, że to coś jest niemożliwe; nie powiedziałabyś, że niemożliwe jest to, co jest możliwe, bo byłby to absurd.

- Nie bardzo to chwytam. Prawdę mówiąc, wcale tego nie chwytam.

- A przecież jakież to proste! Jakież to cudownie proste! Powiedzmy to samo inaczej, innymi słowami: żeby móc powiedzieć cokolwiek o czymkolwiek, musi się przecież coś wiedzieć o tym, o czym się mówi, czyż nie? Jeżeli mówisz o czymś, że to coś jest niemożliwe, musisz przecież wiedzieć, o czym mówisz, musisz przecież wiedzieć, czym jest to coś, o czym mówisz, że jest niemożliwe. Czy to chwytasz?

- To chwytam. Jak najbardziej. I właśnie kiedy mówię, że jest niemożliwe, żeby człowiek chodził do góry nogami po suficie, to przecież wiem dobrze, o czym mówię, wiem bardzo dobrze, czym to jest, wiem...

- Ejże, ejże! Wolnego! Wiesz, o czym mówisz? Wiesz, czym to jest? A skąd to wiesz? Czyżbyś chodził do góry nogami po suficie jak mucha, że wiesz, czym to jest?

- No... nie, nie chodziłem. Oczywiście, że nie. Ale Newton i prawo powszechnego ciążenia...

- Zostaw w spokoju Newtona i jego prawo powszechnego ciążenia, Newton, i to jest pewne, cierpiał tak jak ty; mniej lub więcej - nie ma to istotnego znaczenia; cierpiał. I to przede wszystkim należy zrozumieć: cierpienie. Dlaczego cierpisz? Jaki jest sens cierpienia? Po co ono jest? Cemu służy? Bez zrozumienia tego wszystkie prawa: Newtona, Keplera, Kopernika, Einsteina i czyjekolwiek - niewarte są tego, co są warte.



Wróćmy, że się tak wyrazi się, do tematu, od którego nie oddaliliśmy się, choć komuś mogłoby wydawać się inaczej. Nie możesz powiedzieć o jakiegokolwiek rzeczy, że ta rzecz jest niemożliwa. Podałeś drastyczny i dlatego świetny przykład z chodzeniem do góry nogami po suficie. Nic prawdziwego, to znaczy pozaopisowego nie wiesz o chodzeniu do góry nogami po suficie; nic o tym nie wiesz, a mówisz, że coś wiesz. Mówisz wręcz, że wiesz o tym wszystko, bo mówisz, że jest to niemożliwe. Czy dociera do ciebie, że nie możesz tego poważnie powiedzieć? Kiedy jest fakt, można go tylko stwierdzić, aż stwierdzić, czyli uczynić rzecz oczywistą, czyli skonstatować oczywistość faktu; kiedy nie ma faktu, nie ma nic do powiedzenia.

Nie ma innej wiedzy poza samowiedzą. Nie ma innego poznania poza samopoznaniem. Takie powiedzenie usłyszeć można nieczęsto. Raz na kilkaset, raz na kilka tysięcy lat. Usłyszeć można natomiast często powiedzenie, że człowiek nie może sam siebie poznać. A przecież, żeby móc świadomie tak powiedzieć, trzeba by najpierw siebie poznać! A przecież, poznawszy siebie, się nie powie, rzecz jasna, że nie można siebie poznać! Poznawszy siebie, się powie, rzecz jasna, że można siebie poznać! Ktoś zaś, kto siebie nie poznał, nie może powiedzieć, że nie można siebie poznać; nie może też powiedzieć, że można siebie poznać; nie może po prostu na powyższy temat nic powiedzieć. Może jednakże, jeżeli jest to człowiek poważny, słuchać tego, co ktoś tam, ktokolwiek, na powyższy temat mówi, słuchać i odkrywać oczywistości w tym, co ktoś tam, nieważne kto, na powyższy temat mówi, jeżeli ów mówiący mówi oczywistości. A jeżeli ów mówiący nie mówi oczywistości, no to nie mówi oczywistości, ale dla słuchającego to ma też być oczywistość! Jak by nie było, u słuchającego ma to zawsze być odkrycie, odkrycie oczywistości i zawsze odkrycie w sobie tej oczywistości. Prawdziwe słuchanie jest zawsze odkrywcze i nie ma innych odkryć poza odkryciami oczywistości. Jeżeli w trakcie słuchania kogoś, nieważne kogo, kogokolwiek, nie ma odkrywania w sobie oczywistości ("ta pani, ten pan mówi oczywiste prawdy", "ten pan, ta pani opowiada oczywiste brednie") - oznacza to, że słuchający nie słucha. Myśli, wyobraża sobie, wydaje mu się, że słucha, ale w rzeczy samej nie słucha. Jeżeli myśli, nie jest w stanie słuchać. Nie ma poznania poza samopoznaniem i nie ma samopoznania poza odkrywaniem w sobie oczywistości.

Powiedziałeś w pewnej chwili, że dotarło do ciebie to, że nie można stwierdzić braku tego, czego nie ma, że nie można stwierdzić braku braku. Ale to do ciebie nie dotarło. Spodobało ci się to sformułowanie, znalazłeś je efektywnym i powiedziałeś, że ono do ciebie dotarło. Ale nie, ale tak, ale tylko werbalnie, słownie, gołosłownie. Nie wyszedłeś poza słowa. Wydało ci się oczywiste, że nie da się skonstatować braku braku; wydało ci się, tylko wydało ci się. Bo mówiąc, że jest niemożliwe, żeby człowiek w normalnych warunkach chodził do góry nogami po suficie, stwierdzasz niniejszym, ni mniej ni więcej: brak braku. A przecież nie da się stwierdzić braku braku. O czymś, czego nie ma, nie możesz nic powiedzieć. Nawet oczywiście nie możesz powiedzieć, że tego nie ma, bo nawet nie wiesz, że tego nie ma. Gdybyś wiedział, że tego nie ma, tym samym wiedziałbyś o tym wszystko. Gdybyś wiedział, że tego nie ma, wiedziałbyś, że to jest.

A czy wiesz, co znaczy, że nie można stwierdzić braku braku? Powiedz. Nie odkryłeś w sobie "przedtem" tej oczywistości, ale możesz ją odkryć teraz, zaraz teraz, zaraz teraz natychmiast. Słuchając. Oczywistość, to się słyszy, to się widzi, to się dotyka. Zatem, co ci mówi ta oczywistość, że nie da się skonstatować braku braku? Jaką "inną" oczywistość w niej słyszysz? Nie zgaduj. To proste, niewiarygodnie proste. Tego, co proste, nie zgaduje się. Proste się słyszy, proste się widzi, proste się dotyka. Więc nie zgaduj. Słyszysz lub nie słyszysz.



- Nie słyszę.
- To, że nie da się skonstatować braku braku, znaczy:

## WSZYSTKO JEST MOŻLIWE

W tym miejscu - gdybyś raptem przestał być tym, kim jesteś (o czym oczywiście też nie można powiedzieć, że jest to niemożliwe i co wobec niemożności skonstatowania braku braku jest możliwe) - zobaczyłbyś w całym niewypowiedzianym splendorze coś, w co nie da się wierzyć ani nie wierzyć, ale co można tylko zobaczyć, aż zobaczyć: zobaczyłbyś, że w życiu, w prawdzie, w rzeczywistości - są same rzeczy niemożliwe, czyli same cuda, czyli same fakty. Obok których biała, czarna i czerwona magia, jasnowidztwo, czarnowidztwo, różowowidztwo, wszystkie "cuda" parapsychologii, lewitacja, telepatia, okultyzm, spirytyzm, czary-mary, abrakadabra, latające talerze i talerzyki, i tak dalej, i temu podobne - nie są nawet najżałośniejszymi namiastkami. To jest tak, jakby ktoś zobaczył człowieka spacerującego do góry nogami po suficie i niezmiennie go ten niezwykle widok zdziwił, a zapomniał nieskończenie bardziej się zdziwić, że jest coś takiego jak on sam, który oto właśnie patrzy na niezwykle widok czegoś chodzącego do góry nogami po suficie. On patrzący to znaczy, kto on? co on? skąd on? jak on? A ten on chodzący po suficie to kto on? co on? skąd on? Człowiek? Co to człowiek? Co to takiego?

Czym są razem do kupy wzięte, wszystkie dziwactwa i dziwolągi obiegające co pewien czas światową prasę plotkarsko-brukową przy czymś tak niemożliwym i tak realnym, tak niemożliwym i tak faktycznym, tak niemożliwym i tak cudownym - jak żdźbło trawy? A rozległe łąki, pola, stepy, prerie, pampa? A lasy, bory, puszcze? A góry i doliny? A rzeki i jeziora? A morza, oceany, wyspy i kontynenty? A wszystkie stworzenia na lądzie, w wodzie i w powietrzu? A niebo? A słońce? A człowiek, którego pożarłeś i za którego bierzesz się?

Ale ty tego wszystkiego nie widzisz. Ty już nawet na to nie patrzysz (przyzwyczyłeś się, przywykłeś, nawykłeś, wdroiłeś się, zaprawiłeś się dokumentnie, doszczętnie, weszło ci w nałóg, weszło ci w krew, twoja krew nałogiem jest, to nie jest krew, to nie jest żywy śpiew). A kiedy zdarza ci się od czasu do czasu na to popatrzeć, na przykład przez okno pociągu, samochodu czy samolotu - nie widzisz tego. Patrzysz i nie widzisz nic poza słowami, nazwami, sektowymi kazaniami, szkolnymi lekcjami, uniwersyteckimi wykładami i jakimiś martwymi jak ty sam wspomnieniami, reminiscencjami, relikami, relikwiami, symbolami, marzeniami, wyobrażeniami, wizjami, telewizjami, metawizjami i tak dalej, i temu podobne. Gdybyś widział, nie potrzebowałbyś nic więcej do szczęścia: ni pieniędzy, ni miejsca na cmentarzu, ni wiary w życie pozagrobowe, ni Boga finansowego, ni Boga metafinansowego. Pieniądz śmierdzi, a zapach życia, skromniutki nieznaczný zapach malutkiej stokrotki roznosi się po całym kosmosie. Gdybyś widział, żyłbyś. Gdybyś żył, widziałbyś, czym jest to wszystko, skąd się wzięło, z jakiego niewysłowionego i niewiednącego źródła; widziałbyś nie do opisania piękno tego wszystkiego, byłbyś sam tym pięknem, żywym i nieśmiertelnie żywym pięknem. Rozumiałbyś. I żyłbyś.

- Jak to jest, kiedy się rozumie? Jakie to życie? Jak się wtedy odczuwa życie?

- Tyś jest swoim Ja. Tyś jest Ja, którym jesteś. Tylko tym i całkowicie tym, i dopóki będziesz całkowicie tylko tym - nie możesz wiedzieć, czym jest ta ekstaza.

- Jaka to ekstaza? Jaki to stan? Do czego ze świata rzeczy, co mi dostępne, to może być podobne?

- To jest coś takiego, czym byłoby dla ciebie być z uwielbiano pod każdym względem kobietą, być z nią i być w niej, i - jeżeli twoja wyobraźnia może sobie to wyobrazić - nigdy z niej nie wychodzić; być w niej i być nią, i być sobą, i być jednocześnie czymś jednym. I przeżywać swoją radość, jej radość, i radość wspólną, obopólną.

- To absolutnie niesłychane. Moja wyobraźnia chyba nie może sobie tego wyobrazić.

- Nie może na pewno,

- Czy tylko moja wyobraźnia nie może, czy...

- Żadna wyobraźnia człowieka-Ja. Ani twoja, ani czyjakolwiek. I szybko zauważ, że błyskawicznie tym pocieszyłeś się, że powiedziałeś sobie w myśli: "w takim razie nie jestem gorszy od innych" lub coś w tym stylu. Ta negatywna obserwacja może być cudotwórcza. Dać się objąć przez stan obserwacji to zauważyć, że nie możesz, że nie jesteś w stanie obserwować czysto, nago, pozytywnie, obiektywnie, a że możesz obserwować jedynie subiektywnie, to znaczy że zawsze wszystko sprowadzasz do centrum, do pępka świata, którym jesteś oczywiście ty i że tam zawsze oceniasz, i zawsze w sposób dla siebie najkorzystniejszy, po czym wedle tego postępujesz. Ale kiedy taką obserwację subiektywną doprowadzisz do końca, do dna, do cna, do samego jądra jej istoty, do jej istnego kresu, wtedy sama się pojawi obserwacja naga, czysta, pozytywna, obiektywna, mogąca obserwować nie do-centralnie i nie od-centralnie, lecz zupełnie bez-centralnie. I to jest to. To wystarczy. Cała reszta przychodzi sama.

Bo ilość nie może zmienić się w jakość. Jakość się pojawia wtedy i tam, kiedy i gdzie ilość osiąga stan zerowy, czyli kiedy o ilości nie można nawet pisać, czyli gdzie ilość znika. Wtedy i tylko jedynie wtedy może się pojawić jakość. W prawdziwym życiu, w rzeczywistości w ogóle nie ma czegoś takiego jak ilość. Ilość jest jedynie wymysłem pseudojakości. Czegoś takiego jak pseudojakość też w ogóle w życiu nie ma. Bo życie to jest właśnie jakość, a w jakości, rzecz jasna, nie może być pseudojakości, bo wtedy nie byłaby to jakość.

- Co dla człowieka, który rozumie - więc który żyje tym życiem, tą ekstazą - jest tą uwielbianą pod każdym względem kobietą, z którą, w której... no i w ogóle?

- Tu można dodać, dopowiedzieć to, co jest jeszcze bardziej niesłychane i czego w odniesieniu do ciebie nie dało się powiedzieć. Dla człowieka-nikt ta uwielbiana kobieta jest wiecznie młoda i wiecznie się zmieniająca, jest wiecznie nowa i wiecznie na nowo pod każdym względem zachwycająca, i pod każdym względem uwielbiana. To jest ta sama kobieta. Ta sama, a oto mieniająca się wieczną innością. Będąc tą samą kobietą, jest zawsze inna, i, o cudowności, nie przemija z niej nic, nie spada jej nigdy ani jeden włos z głowy. Nie można się na nią napatrzyć, tak nieopisanie pięknie za każdym razem inaczej wygląda. Nie



można się jej nasłuchać, tak nieopisanie pięknie za każdym razem inaczej śpiewa. Nie można się jej nagłaskać, nie można się nią nasycić, nakochać, tak nieopisanie pięknie za każdym razem, za każdym razem dziewicze ma ciało.

I teraz dopiero: dla człowieka-nikt tą uwielbianą kobietą (a uwielbianym mężczyzną dla kobiety będącej człowiekiem-nikt; kiedykolwiek się urodzisz, bądź pozdrowiona, kobieto-nikt, o, wiecznie-młoda-dziewczynyno-nikt, dziewczynyno-trefl, dziewczynyno-trójeczko-najśliczna) jest wszystko: każda, trawka, kwiat, krzak, drzewo, każdy liść na drzewie, gałązka, pąk, owoc, każda kropla deszczu, kulka gradu, płatek śniegu, powiew wiatru. Każdy ptak, każde stworzenie, każdy promień słońca, każdy kamyczek, cała ziemia, cała woda, całe powietrze, całe niebo, wszystko. Cały ogień. Wszystko, co się wiecznie pali, co żyje. Bo dla człowieka-nikt wszystko jest jednym i człowiek-nikt jest tym wszystkim. Jest życiem. Jest ogniem. Jest słońcem, które dlatego płonie olśniewającą jasnością, bo w środku jest czarne, w środku ma swoje własne niewyczerpalne źródło energii: noc.

Człowiek-nikt jest tym wszystkim i jest czymś jeszcze innym. Człowiek-nikt nosi w sobie trupa. Szczególnego trupa. Tym trupem jest jego Ja. Bo człowiek-nikt nie jest wyjątkiem pomiędzy ludźmi. Jak u wszystkich ludzi, tak i u niego jest to, co nazywa się Ja. Z tym, że podczas gdy u człowieka-Ja to Ja jest na powierzchni, na zewnątrz, w świecie, to u człowieka-nikt to Ja jest w głębi, wewnątrz, w grobie, czyli we właściwym miejscu. Bo Ja jest trupem. Ja jest trupem par excellence. Jest tyle trupem u człowieka-nikt, ile u człowieka-Ja. I wszystko zależy od tego, gdzie to Ja znajduje się. Jeżeli znajduje się, jak u człowieka-Ja, na zewnątrz, poza grobem, w świecie, wtedy ten świat jest cmentarzyskiem. Bo świat jest dla nas tym, czym my jesteśmy dla świata. Jeżeli jesteśmy w świecie nieżywi, świat jest dla nas nieskończenie rosnącym, progresującym cmentarzyskiem tych, którzy umarli i tych, którzy idą ku śmierci, drżąc ze strachu lub drżąc "z odwagi"; tych, których zabili i tych, którzy zabijają, nim ich zabijają. Jeżeli jesteśmy w świecie żywi, świat jest w nas rozległą, najprzestronniejszą łąką wiecznej wiosny z jej ciągle nowymi i cudownymi porami: latem, jesienią, zimą, wiosną.

U człowieka-nikt, u człowieka-żyw to Ja znajduje się wewnątrz, w głębi, w grobie. I tu, na swoim właściwym miejscu, to Ja jest trupem wyśmienitym, doskonałym. Absolutnie niezastąpionym trupem. Bo ten trup jest nieśmiertelny. Nieśmiertelny w tym sensie, że co chwila zmartwychwstaje razem z tą chwilą, to znaczy przechodzi, chyłkiem przemyka z głębi do powierzchni, z grobu na świat. Wtedy uwaga go widzi i przez to samo, że go widzi, odsyła go, odrzuca na powrót do grobu. Każdy odrzut trupa z powierzchni w głąb, że świata w grób - jest jak promień słońca, jest wytryskiem błysku, jest manifestacją uwagi, a więc jest tym samym życiem, bo być żywym, to być i być uważnym.

I tak to z nieśmiertelności martwej rodzi się nieśmiertelność żywa. Któż w to wszystko uwierzy? Ale czy w ogóle da się w to uwierzyć? Nie da się. I niepotrzebne tu amen. Bo nie chodzi tu ani gdzie indziej o uwierzenie, ani o odwrotność, która jest tym samym. Chodzi o odkrywanie w sobie oczywistości, a każda oczywistość jest rewelacyjna w swojej nieporównywalnej prostocie, olśniewająca i tak strzeliście radosna, jak pianie koguta w różowym świecie. Dlatego ludzie-nikt mówili, mówią i będą mówić ludziom-Ja: odkryjcie w sobie śmierć, a odkryjcie w sobie życie; odkryjcie w sobie nic, a odkryjcie w sobie wszystko; zdemaskujcie w sobie fałszywe wszystko, a prawdziwe wszystko się odkryje wam



samo; możecie to uczynić, tylko wy możecie za siebie to uczynić, nikt tego za was nie robi; możecie to uczynić, to jest możliwe, wszystko jest możliwe, niemożliwe też jest możliwe.

I dlatego, można powiedzieć, że jest człowiek-nikt, czyli człowiek-wszystko czymś jeszcze więcej niż wszystko. Jest całym ogniem i jeszcze osobnym ogniem. Tym osobnym ogniem, tą latarnią w głuchych ciemnościach jest miłość. Miłowanie. Człowiek-nikt ten człowiek-który-miłuje.

- Co miłuje? Kogo miłuje?

- Ciebie. Bo poza tobą wszystko żyje, a to, co żyje, żyje j nie potrzebuje nic, nawet miłości.

- Mnie miłuje?

- Ciebie. I, ach, gdybyś wiedział, jak bardzo jest to niemożliwe!

- Mnie? Po tym wszystkim, co się tu o mnie powiedziało?

- Po tym wszystkim, co się tu o tobie powiedziało i przed tym wszystkim, i podczas tego wszystkiego. Cały, cały, cały czas. Miłuje cię tak, jak tylko ludzi-nikt na to stać. Miłuje cię prawdziwie. Dla ciebie, nie dla siebie. Matka, ojciec, żona, dzieci, bracia, siostry, cała twoja rodzina, wszyscy twoi przyjaciele, koledzy - nie miłują cię dla ciebie; wszyscy oni kochają cię dla siebie. Bo jesteś ich. Ich synem, mężem, ojcem, bratem, kuzynem, szwagrem, wujem, zięciem, przyjacielem, kolegą, kompanem, kamratem i tak dalej. Obcego, jak to wy mówicie, nie kochają tak, jak ciebie, bo on jest obcy, nie należy do rodziny (ta rodzina może być mała i może być duża, i może być bardzo duża, ale nigdy nie ogarnia, nie obejmuje ramieniem całej ludzkości, co ci pokazuje czarno na czarnym właśnie historia ludzkości, która jest historią wojen pomiędzy różnymi rodzinami składającymi, a raczej nie składającymi się na tę ludzkość). Więc obcy jest obcy. Nie jest ich. A ty jesteś ich. I dlatego cię kochają. Nie miłują cię bezinteresownie, czysto, prawdziwie. Tak, jak miłuje słońce, które nie dzieli ludzi na swoich i obcych, na niekochanych, troszeczkę kochanych, trochę kochanych, kochanych, bardzo kochanych ("Kogo więcej kochasz? Tatusia czy mamusię?"). Prócz słońca i ludzi-nikt, nikt cię nie miłuje prawdziwie. Wszyscy kochają cię dla siebie, jak swoją, własność, jako swoją własność, fizyczną lub psychiczną, lub te dwie rzeczy naraz. Nie kochają cię dla siebie samego, więc nie kochają ciebie, lecz siebie, zawsze siebie, tylko siebie. Takie też jest i twoje, rzecz ciemna, ich wszystkich "kochanie".

Bo w świecie ludzi-Ja nie ma miłości. Ani jednego błysku. W świecie ludzi-Ja jest tylko lichwa, którą niejeden zobaczył i przeraził się, ale zobaczył ją tylko u drugich, nie zobaczył jej u siebie, w sobie; gdyby ją zobaczył u siebie, w sobie - przeraziłby się samego siebie i sam siebie by zanegował, całego, bez reszty, bez drobnych, i byłby człowiekiem wolnym, człowiekiem bez nazwiska. Bo to nazwisko i wszystko, co w nazwisku i za nazwiskiem kryje się, jest przyczyną i jednocześnie skutkiem lichwy. Nazwisko, które nigdy nie jest nagie, czyste, ale zawsze obtoczone tysiącami przymiotników, rzeczowników, czasowników, przysłówków, imiesłówów, imków, przyimków, przedimków, zaimków: dzierżawczych (mój, twój, jego, nasz, wasz, ich, czyli sześć razy Mój), osobowych (ja, ty, on, my, wy, oni, czyli sześć razy Ja) - i żadnym prawdziwym spójnikiem. Nazwisko obtoczone

tym wszystkim jak robactwem i przez to robactwo toczone, nazwisko przeżarte poczuciem prywatności, osobności, odrębności, wyłączności: tą rdzą. A tam, gdzie rdza, jest tylko rdza; pod rdzą nie ma prawdziwie czystego metalu, jest fałszywie czysty metal, czyli przeciwieństwo rdzy, czyli odwrotność rdzy, czyli rdza. Tam, gdzie odrębność, nie może być prawdziwej jedności. Tam, gdzie odrębność, musi być nie-odrębność, ale to nie jest jedność. To fałszywa jedność, pole do opisu i do popisu dla odrębności, martwy teatr do odgrywania ciągle, ciągle, ciągle tej samej, tej samej, tej samej tragikomedii.

W świecie ludzi-Ja, w świecie nazwisk - nie ma miłości. Ani jednego błysku. Tylko lichwa, handel, interesy, giełda, rachunki, konta, banki, odliczanie, odmierzanie, odważanie, konkurencja, rywalizacja, eksploatacja, deptanie, miażdżenie słabszych, płaszczenie się przed silniejszymi, walka (nazywana walką o sprawiedliwość, przeciwko niesprawiedliwości) na pięści, łokcie, kolana, szczęki, żuchwy, noże, kłonicy, sztachety, widły, cepy, bomby atomowe, wodorowe, neutronowe i co tylko wpadnie w rękę lub do głowy. W rękach i w głowie człowieka-Ja wszystko może posłużyć jako fuzja do transfuzji krwi z ciała przeciwnika do własnej cysterny. A przeciwnikiem, wrogiem jest każdy. Każdy nieJa, każdy nieMy.

W świecie ludzi-Ja, w świecie egoistów, w świecie nazwisk, w świecie lichwy - nie ma ani jednego czystego, prawdziwie bezinteresownego, miłosnego, słonecznego czynu. Wszystko idzie natychmiast na wagę: finansową lub metafinansową. Jeżeli nawet przytrafi się, jak ślepej kurze ziarno, zrobić coś, co ma szansę być bezinteresowne, zaraz przestaje to być bezinteresowne, a staje się interesowne, bo zaraz wychodzi na pierwszy plan autor, który nazywa to ludzkim obowiązkiem, dobrym uczynkiem, miłością bliźniego lub podobnie gromko i samochwalnie, i posyła to przez skrzydlatych Aniołów do Pana Boga, bo a nuż na Sądzie Ostatecznym ten uczynek przechyli szalę dobrego i złego na stronę dobrego i będę zbawiony. A jeżeli tego do Pana Boga nie posyła (bo uważa się za człowieka wykształconego, światłego, cywilizowanego, kulturalnego ateistę), to zatrzymuje przy sobie pamięć swojego czynu, jest z siebie ogromnie zadowolony, jest samemu sobie wdzięczny, niezależnie od tego oczekuje od wszystkich wdzięczności i nie widzi, że w ten sposób sam siebie opłaca, samemu sobie wystawia honorarium, odpowiednio - rzecz ciemna - wysokie, i że to wewnętrzne honorarium jest zupełnie tym samym, co w tak zwanym świecie zewnętrznym tak zwana "żywa gotówka", cash, l'argent liquide, i zupełnie tym samym, czym dla wierzącego honorarium w zaświatach, rajskie honorarium, a więc że to wszystko biznes, a więc nie ma to wszystko absolutnie nic wspólnego z miłością. Nie widzi tego, że gdyby zrobił coś naprawdę bezinteresownego, coś słonecznego, to nie potrzebowałby być z tego zadowolony, nie potrzebowałby o tym pamiętać po to, żeby wspominać i roztkliwiać się nad sobą "ach, jakież jestem dobry, życzliwy dla ludzi, wspaniałomyślny, rycerski, szlachetny" i tak dalej, i temu podobne; nie potrzebowałby żadnego z tych, żalosnych zachowań, bo cała jego radość spełniłaby się w czynieniu, w działaniu, w spełnieniu. Bo miłość jest czynieniem, promieniowaniem. Czyn zakończony, miłość zakończona. Do kolejnego czynu. Miłość i czynienie miłości to jedno. Bez czynienia miłości, miłości nie ma.

Jedno wielkie, gigantyczne targowisko, na którym szaleją chciwość, lęk, agresja, okrucieństwo, chaos i wojny, a pomiędzy gorącymi wojnami zimne wojny i tak zwana walka o pokój, na którym todos contra todos, wszyscy przeciwko wszystkim i każdy przeciwko



każdemu - oto czym jest ten świat, którego jesteś twórcą i ofiarą, i w którym w straszliwy sposób miotasz się, szarpiesz, gryziesz, męczysz, dręczysz, dręcząc tym samym wszystko wkoło siebie, i mówisz o miłości, szukasz wszędzie miłości, potrzebujesz miłości, jesteś jednym rozpaczonym wołaniem o miłość, rżeniem o miłość, jednym tragicznym, kosmicznym wyciem o miłość, ale kto ci ją może dać, jeżeli każdy, tak jak ty, potrzebuje miłości? Kto komu ma dać miłość, jeżeli każdy jej potrzebuje? A jeżeli potrzebuje, to przecież znaczy, że jej nie ma. A jeżeli jej nie ma, to jej nie może dać. Co może wlać próżne do pustego i odwrotnie?

Tylko ktoś, kto poznał świat ludzi-Ja, bo poznał siebie, poznał swoje Ja i umarł dla tego Ja, umarł dla świata ludzi-Ja (nie po śmierci cielesnej, lecz za życia), i tym samym wydostał się z tego świata, i narodził się w całkowicie wręcz innym, nigdy przedtem wyobraźnym, przypuszczalnym, spodziewalnym świecie jako coś nigdy przedtem wyobraźnego, przypuszczalnego, spodziewalnego, jako coś całkowicie wręcz innego od człowieka-Ja (którym kiedyś ten człowiek był, bardzo był, straszliwie bardzo był) i to coś, co stało się w drugim świecie, co się stało drugim światem, okazuje się być trzecim światem, bo oto okazuje się, że to coś może poruszać się z absolutną swobodą w obydwu światach będących jeden w drugim, ale dla siebie nieistniejących, siebie wykluczających, albo-albo: w świecie wymysłu i w świecie faktu, w świecie fałszywego i w świecie prawdziwego, w świecie czasu i w świecie wiecznego tu-i-teraz, w piekle i w raju - tylko ktoś taki może dać miłość, jako że dane mu jest być pełnym miłości, jaką daje rozumienie bólu i prawdziwej radości, cierpienia i ekstazy, niewoli i wolności, nieszczęścia i szczęścia, choroby i fundamentalnego zdrowia; miłości, jaką daje jasne widzenie obydwu światów i bycie trzecim światem, co jest pierwszym i drugim, a oto nie jest ani pierwszym, ani drugim, ale trzecim. Człowiek-nikt.

Człowiek-nikt to nie jest żadne znane zjawisko nadprzyrodzone, mara, widmo rodem z zaświatów, niematerialny fantom, lecz, jak widzisz, człowiek jak najbardziej z krwi i kości, i mięśni. Z ciała. Że ty jesteś z krwi i z kości, to tylko wydaje ci się; twoje ciało nie jest twoim ciałem; ty nie jesteś prawdziwie cielesny.

Człowiek-nikt to nie jest żadne znane zjawisko on nie tylko odkrył w sobie i w świecie trupa, czyli fałszywie żywego, czyli wszystkie wymysły, czyli całą tak szumnie zwaną treść; odkrył on w sobie i w świecie także prawdziwie żywego, czyli bezimiennego, czyli ciało żyjące życiem od Ja niezależnym. Człowiek-nikt to człowiek jak najbardziej cielesny, poza tym normalny, zwyczajny, niczym szczególnym się nie wyróżniający, poza jakimś promieniującym z niego spokojem, może szczególnym spokojem, co w tym świecie nieustającej za czymś gonitwy, pośpiechu, hałasu i chaosu może ewentualnie komuś baczemu rzucić się w oczy. Ty w człowieku-nikt nie możesz zobaczyć czegoś więcej poza tym, że jest to taki sam jak ty człowiek-Ja. Ty w człowieku-nikt nie możesz zobaczyć człowieka-nikt, bo ty jesteś ktoś, a ktoś, kto jest tylko kimś, nie może zobaczyć kogoś, kto nie jest tylko kimś, lecz jeszcze czymś innym: dokładnie nikim właśnie, czyli ciałem właśnie, czyli faktem właśnie, czyli cudem właśnie, czyli życiem właśnie. Ktoś nie może zobaczyć nikogo ani przez najczulszy mikroskop, ani przez najsilniejszy teleskop. Oto jest przed tobą człowiek-nikt, ale ty go nie widzisz, nie możesz go zobaczyć. Tylko człowiek-nikt może rozpoznać drugiego człowieka-nikt, człowieka-nikt sprzed, powiedzmy, dwóch tysięcy pięciuset lat, czy dwóch tysięcy lat, czy człowieka-nikt współczesnego jemu. W świecie

nazwisk ludzie-nikt noszą jak wszyscy jakieś tam swoje nazwiska, ale oni rozumieją, że te nazwiska to nazwiska trupów, które w sobie noszą; to nazwisko dotyczy tylko jednej trzeciej z trzech trzecich. Trzy trzecie można nazwać człowiekiem-nikt lub inaczej, to nie ma większego znaczenia, bo słowo, każde słowo, nie jest tym, co usiłuje nazwać. Trzy trzecie to trójka, trzy światy w jednej osobie. Słowami nie da się o tym mówić. Słowami nie da się mówić ani o życiu, ani o śmierci, z której się rodzi życie. Słowami da się o tym mówić tylko paradoksalnie. Słowami da się mówić nie-paradoksalnie tylko o tym, co nie ma początku ani końca, co nie ma końca ni początku, co trwa i kona, ale skonać nie może, co jest ciągle tą samą nieśmiertelnie martwą monotonią.

Posłuchaj. Posłuchaj tak, jakbyś słuchał własnego oddechu. Dla ciebie nic poza tobą i twoim światem nie istnieje. Wyobrażasz sobie inny świat, wierzysz w niego, masz nadzieję, mówisz, że musi być coś, co musi być inne, gdzie musi panować piękno i ład, ale dopóki jesteś tym, kim jesteś, dopóki jesteś całkowicie tylko fragmentem, nieświadomym siebie fragmentem, nieświadomą samej siebie świadomością, dopóty wszystkie twoje marzenia, wierzenia, nadzieje, wyobrażenia, czucia, przeczucia muszą nieuchronnie zamykać się w układzie Ja - nieJa. Inny świat, prawdziwie nieznany, niczym niezrelacjonowany z Ja i z nieJa dla ciebie nie istnieje, bo nie może istnieć. Nieznane jest poza wszelkim zasięgiem znanego. Nieznane znaczy nie nazwane, nie nazwane znaczy nieistniejące w słownikach, nieistniejące w słownikach, co znaczy? Nic nie znaczy. Nawet nic nie znaczy. Nieznane nie znaczy nawet nieznane. Dla ciebie nieznanego nie ma. Nie ma nawet takiego słowa. Nieznane znaczy dla ciebie znane. Przestań tedy zajmować się tak zwanym nieznanem; zajmij się znanem.

Uświadom sobie to znane. Uświadom sobie, co znasz i czy to, co znasz uwalnia cię od konfliktów ze sobą samym i z otoczeniem dookolnym, a jeżeli nie, to najwidoczniej ta wiedza nie jest prawdziwą wiedzą, nie jest mądrością, bo mądrość jest jednoznaczna z wyzwoleniem od wszelkiego cierpienia psychicznego, intuicyjnie może to czujesz, bo to oczywistość. Zajmij się sobą. Prawdziwie ci się mówi: niczym innym poza sobą nie zajmujesz się, tyle że nie jesteś tego świadom. Uświadom to sobie w pełni i naprawdę zajmij się sobą. Pomóż sobie, bo tylko jedynie wtedy, kiedy pomożesz sobie w tym sensie, że będziesz w stanie nie potrzebować pomocy, tylko jedynie wtedy będziesz zarazem w stanie móc pomóc innym ludziom, bliskim i dalszym, bez wyboru i bez koloru, bo wtedy każdy będzie naprawdę twoim bliźnim, nie będzie to już tylko puste słowo lub element handlowych targów i przetargów, to znaczy słowo "bliźni" będzie nadal puste, pozostanie puste (jak wszystkie słowa), ale ty będziesz widzieć pełne pozasłowie tego słowa, będziesz widzieć bliźniego, nie słowo "bliźni". Bądź w swoim świecie, bo żaden inny dla ciebie nie istnieje, bo nie może istnieć, dopóki nie poznasz tego, w którym jesteś. Bądź naprawdę w swoim świecie i bądź naprawdę sobą, nie uciekaj od siebie, nie oszukuj się, nie udawaj przed sobą i przed innymi, że jesteś kimś innym niż ten, którym jesteś. Bądź tym, kim jesteś, bądź sobą, bo tylko tak możesz siebie poznać. Nie możesz siebie poznać, jeżeli sobą nie jesteś. Bądź sobą, bo nigdy siebie nie poznasz, jeżeli sobą nie będziesz. Jak możesz być sobą? Będąc świadomym tego, co robisz. Jak możesz być świadomym tego, co robisz? Będąc uważnym.

O czym może rozmawiać z tobą człowiek-nikt, który widzi i rozumie, że dla ciebie nic poza tobą i twoim światem nie istnieje, bo nie może istnieć? Oczywiście może rozmawiać o tobie i o twoim świecie, i w języku tego świata, w tym przypadku w jego wersji polskiej. Ta



rozmowa nie jest łatwa. Oczywiście padają słowa. Słowa zawsze padają, pytania zaś się stawia, a odpowiedzi się pojawiają same, ponieważ odpowiedzi są we właściwych i właściwie postawionych pytaniach, dyktowanych przez prawosć i intuicję. Człowieka-Ja słowa chronią, są jego tarczą i bronią; człowiek-nikt zaś mówi słowami przeciwko słowom, co musi brzmieć paradoksalnie dla kogoś, kto poza słowa nie wychodzi (a przecież życie prawdziwie zaczyna się tam, gdzie fałszywie kończy się słowo). Niezależnie od tego te same słowa - siłą złego, siłą słowa - często mają dla człowieka-Ja i dla człowieka-nikt odmienne znaczenia; ryzyko nieporozumień wynikające z rozlicznych niuansów znaczeniowych tego samego słowa jest immanentnie zawarte w słowie jako takim, to jeden ze skutków przyczyny, to sama przyczyna, to słowo jako takie.

Rozmowa nie jest łatwa. Człowiek-Ja mówi o tym, co wydaje mu się i o czym nawet nie wie, że wydaje mu się; człowiek-nikt natomiast nie mówi o tym, co wydaje mu się, a tylko o tym, co rozumie, co jest dlań oczywiste. Człowiek-nikt podpowiada, podsuwa człowiekowi-Ja - jak tacę z owocami (gorzkie to owoce, ale nie mogą być inne) - właściwe, najprostsze i rewelacyjne pytania; człowiek-Ja zaś obraca to wszystko w żart albo obraża się, bo myśli, że się z niego żartuje, i to przeważnie obraża się skrycie niestety, nie jawnie, nie otwarcie, czyli nie w sposób, który by mu pozwolił być tego świadomym i tym samym od tego uwolnić się. Człowieka-Ja nieustannie coś drażni w sposobie, w naturze mówienia człowieka-nikt; drażni go coś, co wydaje mu się być pychą, zarozumiałstwem, wywyższaniem się (bo przypisuje człowiekowi-nikt własne "cnoty"), a co nie jest nigdy pychą, nigdy zarozumiałstwem, przenigdy wywyższaniem się. Natura mówienia człowieka-nikt zasada się przede wszystkim na braku wysiłku; wysiłek nieodłącznie towarzyszy myśleniu, a nie ma go tam, gdzie jest rozumienie, czyli tam, gdzie nie to, że się przestało myśleć, ale gdzie się niepomierne poszerzyło myślenie, to znaczy gdzie się otoczyło myślenie - jak życiodajną atmosferą - obserwacją myślenia (czysta, przezroczysta obserwacja jest właśnie dokładnie jak czyste, przezroczyste powietrze; wszelka ocena jest mgłą; we mgle nie widać; tylko w czystym powietrzu da się widzieć) i się wtedy zobaczyło i się zrozumiało, i się za każdym razem na nowo to rozumie, że aby móc myśleć musi nie rozumieć się, a zatem samo myślenie - bez obserwacji myślenia "i" myśliciela - nie może nigdy doprowadzić do rozumienia.

Rozmowa nie jest łatwa. Człowiek-Ja chce sobie przeważnie pogawędzić i żeby było miło, przyjemnie, sympatycznie, kulturalnie, jak to on nazywa albo chce obmawiać nieobecnych, albo chce podyskutować, poteoretyzować i żeby było "uczenie", żeby był tak zwany "twórczy niepokój", ale zawsze w tak zwanych "granicach przyzwoitości", Boże broń cokolwiek naprawdę naruszyć, "Ja jestem człowiek porządny, uczciwy i w ogóle; nikomu nic złego nie robię; żeby każdy był taki jak ja, to byłoby bardzo dobrze na świecie" i tak dalej, i temu podobne. Człowiek-Ja chce pocieszać, siebie pocieszać, drugih pocieszać i jeszcze z lubością dawać się pocieszać przez takich jak on sam, których towarzystwo znajduje łatwo, daleko nie szukając, bo to, co podobne, ciąży ku sobie: gaduła ciąży ku gadule, hipokryta ciąży ku hipokrycie, niepoważny ciąży ku niepoważnemu, pyszny ciąży ku pysznemu ( ale też: cichy skłania się ku cichemu, cierpiący skłania się ku cierpiącemu, człowiek prawy skłania się ku człowiekowi prawemu). Człowiek-nikt nie gawędzi, nie teoretyzuje, nie pociesza; on nazbyt dobrze rozumie, że wszelkie pocieszanie jest zawsze pocieszaniem nieszczęścia, jest składaniem choremu życzeń trwania w chorobie, jest głaskaniem potwora i

przymilnym doń przemawianiem: "no nie martw się, nie przejmuj się tak, nie jesteś taki najgorszy, inni są o wiele gorsi, pociesz się", i oczywiście można tak bez końca, i oczywiście to nigdy nie sprawi, że potwór przestanie być potworem; w ten to właśnie sposób potwór cały czas jest potworem i albo kasa (co tylko nawinie mu się pod kły, siebie samego też), albo musi być głaskany, obłaskawiany. I tak całe życie. Oto czym jest pocieszanie. Jest legalnym, oficjalnym sankcjonowaniem obłędu przez to właśnie, że nie chce się go wprost zobaczyć i odczytać, zdemaskować raz po wszystkie czasy.

Pochylmy się dalej nad rozmową pomiędzy człowiekiem-Ja i człowiekiem-nikt. Oto dalszy ciąg nieskończonego toru przeszkód utrudniających kontakt. Człowiek-nikt kieruje wciąż rozmowę na człowieka-Ja, bo widzi to, co widzi, a czego nie widzi człowiek-Ja; człowiek-Ja odwraca kota ogonem. Człowiek-nikt mówi non stop o poznaniu siebie, bo rozumie, że poznać siebie to punkt wyjścia wszelkiego poznania, to początek rozumienia, to coś, czego nie może zabraknąć, to nieodzowny początek (bo cokolwiek się robi, jest oczywiste zacząć od początku; domu nie zaczyna budować się od dachu, lecz od zrobienia wykopu pod fundamenty); człowiek-Ja chce poznać wszystko, nie poznając siebie, czyli nie zaczynając od początku i wydaje mu się, że tak można, wydaje mu się, że początek to jest taki sobie płótek, który można tak sobie przeskoczyć, ot tak jakby nigdy nic. Człowiek-nikt rozumie, że rozumienie jest tu, na ziemi i dlatego rozmowę na ziemię nieustannie sprowadza; człowiekowi-Ja wydaje się, że rozumienia na ziemi nie ma i winduje rozmowę na bujanie w obłokach, stawiając pytania chimeryczne, abstrakcyjne, daremne; daremne, bo nie jest w stanie pojąć odpowiedzi człowieka-nikt, choć te odpowiedzi są opisem niewiarygodnych oczywistości (prawda, o, prawdziwie jest niewiarygodna!). Człowiek-nikt absolutnie nie zamierza przekonać człowieka-Ja o czymkolwiek ani przekonywać do czegokolwiek, mówi mu tylko, żeby obserwował siebie i odsłonił się samemu sobie, mówi mu: słuchaj i odkrywaj w sobie, czy jest tak, jak mówiący mówi, czy nie jest tak, jak mówiący mówi; człowiek-Ja opiera się jak torturowany nie wiedząc przed czym. Człowiek-nikt nie byłby człowiekiem-nikt, gdyby układał, ustalał jakiś dekalog, gdyby przekazywał człowiekowi-Ja: to powinienes, tego nie powinienes; tak postępuj, tak nie postępuj; to jest dobre, to jest złe; człowiek-nikt mówi tylko: cokolwiek robisz, bądź w pełni świadomy tego, co robisz, nic więcej, to znaczy wygrzeb i wystaw na poświętę księżycy to, co w tobie schowane, skryte, zagrzebane, a przecież świadome, to znaczy niech się stanie jawną świadomością to, co jest skrytą świadomością, to wszystko, to wystarczy. Człowiek-nikt mówi: uwaga i jeszcze raz uwaga, i jeszcze raz uwaga; człowiek-Ja nie zwraca na to uwagi i oczekuje wręczenia jakiegoś eliksiru; nie mieści mu się w głowie, że właśnie uwaga, najzwyklejsza i najniezwyklejsza w świecie uwaga prowadząca do poznania siebie jest tym najcudowniejszym eliksirem, którego nigdy, po wszystkie czasy nie wypreparuje żaden chemik, alchemik, biochemik, mikrobiokhemik, makrobiokhemik. Człowiek-Ja określa (głośno lub "po cichu", w myśli) to, co mówi mu człowiek-nikt, "opowiadaniem banałów"; człowiek-nikt mówi: prawdziwie ci się mówi, to są banały, banały w tym sensie, że są to rzeczy oczywiste, ale niech tobie przestanie wydawać się, że są to rzeczy oczywiste, zobacz, że są to rzeczy oczywiste, przeżyj je jako takie, przeżyj je całym sobą tak, jakby dopadła cię, ulewa pośrodku nagiego, otwartego pola albo jakbyś siedział na czubku wysokiego drzewa podczas porywistego wiatru, albo jakbyś w upalny dzień był spragniony i nie miał co pić, i dotarł do jakiegoś domostwa ze studnią na podwórzu,



i nacerpał wody, i wreszcie napił się prosto z wiadra; niech cię olśni olśniewająca oczywistość, "superbanalność" tego, że oczy są po to, żeby widzieć; bo ty w tym miejscu uśmiesz się z przekąsem lub sam nie wiesz jak, ale słuchasz i jesteś głuchy, patrzysz i jesteś ślepy.

Rozmowa nie jest łatwa. Najgorsze jest właśnie to, że człowiek-Ja nie słucha uważnie i nie słucha świeżo, dziewiczo, to znaczy w taki naturalny sposób, że oto ktoś coś mówi i się słucha tego po raz pierwszy w życiu. Tak zresztą, jak bez reszty, jest naprawdę, rzeczywiście. Bo jakieś zdanie usłyszane "nie dalej" jak wczoraj nie jest tym samym zdaniem słyszonym dzisiaj, choćby nawet sformułowane było identycznie jak wczoraj. Bo wszystko się zmienia, wszystko się mieni, wszystko się skrzy i człowiek-dzisiaj nie jest już oczywiście człowiekiem-wczoraj. Wszystko się mieni i wszystko, co się słyszy, słyszy się zawsze po raz pierwszy w życiu; tak samo wszystko, co się widzi, dotyka, smakuje, czuje, przeżywa. Ale człowiek-Ja tak nie słucha, nie patrzy, nie dotyka, nie smakuje, nie wacha, nie żyje. Uszy jego (te cudowne muszle, te konchy), cała głowa jego (to cudowne naczynie, ten dzban na najpiękniejsze kwiaty) - przepełnione są aż po brzegi, aż po menisk wypukły, wszelakiego autoramentu i asortymentu "danymi", informacjami, wiadomościami, opiniami, sądami, przesadami, widzimisiami, ideami, modami, modłami, modelami, modlitwami, nadziejami, wierzeniami, teoriami, spekulacjami, kombinacjami, systemami, poglądami, światopoglądami, wszechświatopoglądami i co tam jeszcze zostało, a wszystko to martwe, bo wszystko to zwiędłe, bo wszystko to przeszłe, i nie ma tam miejsca na nic, co do tego nie pasuje, nie przylega, nie podlega, nie rozlega się echem czy kontr-echem, co nie jest ani za, ani przeciw, ani za i przeciw, ale co jest inne, całkowicie wręcz inne, nowe; i przewala się tam to wszystko wte i wewte, piąte przez dziesiąte, jedenaste przez dziewiętnaste, kotłuje się tam to wszystko, tłoczy się, tłucze się, hałasuje jak fabryka mechanicznych sztucznych papug i człowiek-Ja jest tym wszystkim kompletnie zamroczony, jest jak uderzony w ciemną tępym łomem.

I z tej to przyczyny, i w wyniku tego - rozmowa z nim podobna jest najczęściej do "rozmowy" wiatru z ulicznym, wrzeszczącym megafonem.

- Po tym wszystkim, co zostało tu powiedziane, można by skonkludować, że pomiędzy człowiekiem-nikt a człowiekiem-Ja nie może być żadnego kontaktu.

- Kontakt jest. Gdyby go nie było, człowiek-nikt nie rozmawiałby z tobą dzień po dniu, któryś tam, -nasty już z kolei dzień i jeszcze poprawiając po drodze, dzień po dniu, tekst, co go piszesz i w którym zapisujesz to, co ci się tutaj mówi. W twojej relacji, w twojej redakcji ileż błędów, nieporozumień, przekręceń, przeinaczeń, przesłyszeń, opuszczeń, niedokładności. A przecież robiliśmy pauzy w ciągu dnia, każdego dnia, po to właśnie, żebyś mógł dokładnie wszystko zanotować, bo to, co ci się tutaj mówi, jest tak samo ważne dla ciebie, jak dla każdego człowieka-Ja, któremu ten tekst przypadkowo wpadnie w ręce i pod oczy. I widziałeś: tyle błędów! Jakże niewierny i niebezpieczny w konsekwencjach byłby twój przekaz, gdyby go człowiek-nikt nie przejrzał i nie poprawił tego, co w nim było do

poprawienia. Tak to, widzisz jest, kiedy ktoś relacjonuje rzeczy, których nie rozumie lub które wydaje mu się rozumieć. W taki to właśnie sposób, bardzo dawno temu. ludzie tobie podobni zmasakrowali przekaz pewnego człowieka-nikt. Ileż błędów, przekręceń, słów wyrwanych z kontekstu. Ileż słów i czynów zmyślonych przez zmyślaczy i włożonych w usta i w dłoń tego człowieka-nikt, tego człowieka-wszystko, A nie był "na miejscu", żeby ich poprawić, żeby powstrzymać ich monstrualne, egocentryczne zapędy ludzi-Ja. A wszystko przez to, że naprawdę nie słuchali tego, co mówił. Słuchali, lecz nie słuchali; nie słuchali, więc w sobie nie odkrywali; w sobie nie odkrywali, więc nie widzieli; nie widzieli, więc nie rozumieli; nie rozumieli, więc interpretowali. A kiedy interpretuje się, zawsze źle interpretuje się. Straszliwe konsekwencje tych "niewinnych" praktyk ciągną się, przez wieki i tysiąclecia aż po dziś dzień, zasnuwając gęstym, mrocznym, dusznym, trującym, fabrycznym dymem lazur nieba i ten, ach, widok nad widoki.

To zaś, co prawdziwie pochodzi od tego człowieka-nikt, tego człowieka-wszystko, tego człowieka-trzy, co prawdziwie trysnęło z niewymownego źródła poprzez rurkę jego Ja (Ja w człowieku-nikt jest instrumentem bez grajka, dlatego nie gra tych mniej lub bardziej smutnych melodii, które chce zagrać grajek, kiedy jest w posiadaniu instrumentu; ale ponieważ grajka nie ma, sam instrument może grać wszystkie melodie i wszystkie są szczęsne), to więc, co prawdziwie pochodzi od tego prawdziwego człowieka i co łatwo można znaleźć pośród tego, co zostało przekazane (wystarczy wymieść fantazyjne fabuły fabulistów i "cudów" gruz) - zostało w ciągu wieków i tysiącleci rozgrabione doszczętnie, bogobojnie lub niebogobojnie, na efektowne powiedzonka, wtręty, cytaty, dedykacje, motta, maksymy, przysłowia, epigrafy, epitafia, błyskotki, ozdóbki i temu podobną reklamę: dźwignię handlu. Po wszystkich spektaklach w setkach tysięcy teatrów całego świata, po milionach najwymyślniejszych przedstawień plastycznych, po superstar-musicalu, "brakowało" filmu o życiu tego człowieka. I oto kończą go kręcić (scenariusz podobno oparty na wersji przekazu tego od Paranoicznej Odrażającej Apokalipsy). Co jeszcze pozostało do sfabrykowania? Może pamiętniki tego człowieka?

Wróćmy, że się tak wyrazi się, do kontaktu pomiędzy człowiekiem-Ja i człowiekiem-nikt. Bo kontakt jest. Gdyby go nie było, człowiek-nikt nie rozmawiałby z tobą, dzień po dniu, któryś tam, -nasty już z kolei dzień, ale rozmawiałby - innym, rzecz jasna, językiem - z każdą żywą rzeczą: z drzewami, z wiewiórkami skaczącymi po gałęziach, z kwiatami, z trawą, ze wszystkimi stworzeniami w trawie, z kolorami, z zapachami, z polnymi i przydrożnymi kamieniami, z wodą, ze wszystkimi stworzeniami w wodzie, z powietrzem, ze wszystkimi stworzeniami w powietrzu, z wiatrem, mgłą, deszczem, gromem, błyskawicą, ze śniegiem, z ziemią, z niebem, z obłokami, ze słońcem, z każdą jak on żywą rzeczą. Tak, jak to robi wtedy, kiedy nie rozmawia z tobą lub z każdym tobie-podobnym, tobie-niepodobnym, tobie-identycznym. Bo w życiu nie ma dwu jednakowych źdźbeł trawy, dwu jednakowych liści, dwu jednakowych płatków śniegu, dwu jednakowych obłoków, dwu jednakowych "bliźniaków" i tak dalej, tymczasem wszystkie Ja są identyczne, choć każdemu Ja wydaje się, że jest różne od Ja drugiego.

Kontakt jest. Gdyby go nie było, człowiek-nikt nie rozmawiałby z tobą, dzień po dniu, używając często-gęsto dosadnych, mocnych, gwałtownych sformułowań, ale wie dobrze dlaczego. Dlaczego? Dla dobra twojego. Żeby tobą potrząsnąć, wstrząsnąć i żebyś ocknął się



z martwoty, w której martwisz się i zamartwiasz. Ale tak bardzo jesteś głuchy, ślepy, nieczuły, martwy, że już nic cię nie szokuje. Widzisz (nie widzisz), nawet nie jesteś zaszokowany tym, że ci się mówi, że jesteś martwy, nieskończenie martwy. I z tym wszystkim wierzysz, że jesteś żywy. Pewnego dnia, pięknego dnia, bardzo pięknego dnia, cudownego dnia, gdy siebie poznasz i gdy się narodzi człowiek-nikt, człowiek-który-widzi, zobaczysz, jak straszliwie ciężko jest krzesać do życia umarłych, co mają się za żywych i żyjąc w wieczności prawdziwie usłyszysz niezastąpione te słowa, i się uśmiechniesz do siebie, i dookoła, i twój uśmiech będzie piękny, bo wszystko, cokolwiek czyni człowiek-nikt jest piękne i słuszne. Człowiek-nikt-nie-jest-w-stanie-zrobić-cokolwiek-złego.

Kontakt jest. Nikły, znikomy, potwornie ograniczony, ale jest. Ten kontakt z tobą jest wtedy - i to znowu musi dla ciebie zabrzmieć paradoksalnie - kiedy ciebie nie ma.

- Brzmi paradoksalnie, nie da się ukryć. Mogę prosić o wyjaśnienie?

- Pomiędzy rozwianiem się jednej twojej myśli, a wychynięciem ze studni pamięci kolejnej twojej myśli - są w tym murze szczeliny, szpary, przerwy, luki, dziury. To trwa ułamki sekund, ale to wystarczy, bo te ułamki sekund do czasu nie należą, są poza czasem. Podczas tych przerw jest z tobą kontakt. Poprzez te szpary jest z tobą porozumienie. Przez te szczeliny wnika w ciebie oczywistość i spotyka się z oczywistością w tobie będącą. Przez te szczeliny wnika głos dzwoneczka i budzi to, co w tobie śpi. W te szczeliny kogut pieje do drugiego koguta jak z jednego krańca wsi na drugi kraniec wsi.

W te szczeliny siewca siewe.

Jak to być może zauważyłeś, nie było w tym wszystkim, co się tu powiedziało w ciągu tych kilkunastu dni, żadnej opowieści, narracji, fabuły. Jedna i jedyna fabuła potoczy się za chwilę na zakończenie naszych tu rozmów. To krótka historia. Posłuchaj jej tak, jakbyś słuchał własnego oddechu. Bo też jest to - nie da się w to wierzyć ani nie wierzyć; da się to aż zobaczyć i zrozumieć - historia, która doprowadziła do prawdziwych narodzin oddechu tego ciała, które sobie przywłaszczyłeś i oddechu całego wszechświata.

Jest to krótka historia każdego człowieka-nikt, niezależna od płci człowieka-nikt i niezależna od wszelkich towarzyszących tej historii okoliczności biologicznych, fizycznych, geofizycznych, geograficznych, atmosferycznych, politycznych, i niezależna od tego, czy zdarzyła się bardzo, bardzo dawno temu, czy nie tak dawno temu, czy dopiero co, temu zaledwie parę miesięcy. Jest więc niezależna od chronologii, a raczej chronologia jest od niej niezależna, ale - jak każda historia - nie może być niezależna od czasu jako takiego. Dzieje się więc ta historia w czasie i musi zostać opowiedziana w czasie, to znaczy w czasie przeszłym, jako że innego nie ma.

Jest to historia człowieka-nikt, kiedy nie był jeszcze człowiekiem-nikt i kiedy możliwość możliwości istnienia czegoś takiego, jak człowiek-nikt, nie mogła absolutnie ani musnąć jego wyobraźni. To było absolutnie niemożliwe. Co jest niemożliwe, człowiek-nikt wie o tym teraz, gdyż sam jest niemożliwością. Co jest niemożliwe dla człowieka-Ja, człowiek-nikt wie o tym teraz i wyjawiał ci to w ciągu tych kilkunastodniowych rozmów.

Zatem jest to historia takiego jak ty człowieka-Ja. Zatem jest to historia, która może bardzo dobrze okazać się także twoją historią. Zależy to od twojej uwagi i prawości.

Był sobie raz jednego człowiek. Zwyczajny, normalny, jakich wielu, niczym nie wyróżniający się wśród podobnych mu ludzi, poza jednym szczegółem, ale wewnętrznym, wcielonym, więc nie rzucającym się w oczy, takim mianowicie, że ten człowiek nieco bardziej niż drudzy, nieco dotkliwiej niż drudzy czuł w sobie jakąś jakby częstkowość, fragmentaryczność, niepełność, niecałkowitość, jakieś jakby rozdarcie, rozerwanie, pęknięcie, przełamanie, przerwanie. Coś nie tak, coś tu nie tak w tym wszystkim - mówił sobie niekiedy ten człowiek, głośno sam do siebie lub w myśli. Ale nie wiedział, jak ma być ani nawet nie wiedział, co jest nie tak w tym wszystkim. Nie mógł dokładnie określić natury swojej niewygody ani jej dokładnie w sobie umiejscowić. Gdzieś to tam w środku na pewno było i bolało.

Ten człowiek - jak wszyscy ludzie - jadł, pił, spał, chodził tu, chodził tam, myślał, marzył, tęsknił, wyobrażał sobie, kochał, nienawidził, radował się swoimi powodzeniami, smucił niepowodzeniami, płakał, śmiał się, mówił, śpiewał, milczał, podróżował to bliżej, to dalej, uczył się to tego, to tamtego, jednym słowem robił jak wszyscy ludzie tysiące rozmaitych rzeczy, a niewygodą go nie opuszczała. Była ta niewygodą jakby jaki kamień na sercu, jakby jaka szpilka w głowie; czuł ją niekiedy więcej, niekiedy mniej, niekiedy nie czuł wcale, ale to ostatnie zdarzało się nieczęsto i było krótkotrwałe. Była ta niewygodą jakby jaki uwięziony w piersiach, w klatce piersiowej ptak, szamoczący się tam, trzepoczący skrzydłami, bijący nimi o pręty klatki, o żebra, raniący sobie skrzydła, usiłujący z klatki się wydostać, daremnie. I nic nie można było na to poradzić. Ale żyć trzeba - mówił sobie ten człowiek - z kamieniem na sercu, ze szpilką w głowie, z ptakiem w piersiach, żyć jakoś trzeba. I tak było. Latami, latami i latami.

Aż do pewnego dnia (dokładnie nie wiadomo, który to był dzień, bo czas - pokawałkowany dotąd na równe przesuwające się do tyłu klocki - zaczyna się od tego dokładnie nie wiadomo którego dnia jakby mącić, zacierać, rozmazywać, rozmywać, jakby się pojawiło coś, nie wiadomo co, co samą swoją niewiadomą obecnością, nie to że wypierało czas, że walczyło z czasem, ale czyniło go nieistotnym, nieważnym, mniej ważnym, w każdym razie nie jak dotąd najważniejszym, niepodzielnym, jedynowładczym panującym), więc aż do tego pewnego dnia, kiedy w jakimś niezwykłym momencie zdarzyło się (nie wiadomo, jak zdarzyło się, wiadomo, że się zdarzyło), że ten człowiek prawdziwie pochylił się nad sobą i pochylił się w sobie, i do siebie do środka zajrzał. To było tak, jakby nie tylko on tam zajrzał, ale - prócz niego, poza nim - jeszcze coś. Coś, co mogło patrzeć z boku, z dołu, z góry, z całego dookoła i jakby jeszcze z jakiegoś zewnątrz, z jakiegoś spoza; coś co było nim, ale nie tylko nim, coś większego od niego, o wiele, wiele większego. To było coś, to nie był ktoś. To coś było bardzo uważne i wcale się tą swoją wielką uwagą, wielką wnikliwością nie męczyło. I to coś było bardzo, bardzo spokojne.

Więc ten człowiek w tym niezwykłym momencie tego niezwykłego dnia zajrzał do siebie i zaczął uważnie rozglądać się, co też tam w nim jest, w myślach, w uczuciach, w wyobraźni, wszędzie i co też tam dzieje się w nim i z nim. Rozglądał się uważnie i spokojnie, i nie zobaczył ani złotopiórego, uwięzionego w klatce piersiowej ptaka, ani żadnego w głowie przepięknego ogrodu, jak to sobie często wyobrażał, ani nic podobnego. Zobaczył natomiast



coś, czego by się po sobie, w sobie, nigdy nie był spodziewał i w co by nie uwierzył, gdyby mu ktoś powiedział, że to w sobie ma. Zobaczył... straszliwą, krańcowo żwawą... czarną bestię. Patrzył uważnie dalej (ten człowiek był już nie tylko tym człowiekiem, był stanem samoobserwującego się tego człowieka) i zobaczył, że przy czarnej bestii stoi zawsze biały baranek i oto przedziwna rzecz: czarna bestia pożera bezustannie białego baranka, a biały baranek, jak gdyby nigdy nic, nie znika w czeluściach bestii raz na zawsze, lecz bezustannie przy niej trwa. Ten człowiek zobaczył wtedy, że czarna bestia i biały baranek to nierozdzielność, to nierozłączność, to czarnobiała bestia; czarnobiała dla niepoznaki; zobaczył, że czerń i przy czerni kontrastowa biel - to jedno. To jedna czerń. Więc bestia naprawdę była cała czarnoczarna.

Zaczął wtedy ten człowiek (czas tymczasem, nie to, że zatarł się, że rozpląnął się, czy że zwolnił swój tak zwany bieg, ale przestał dla tego człowieka liczyć się; czas - licząc od trzech, może czterech, może pięciu, a może sześciu dni - płynął sobie gdzieś obok), więc zaczął wtedy ten człowiek patrzeć, ile w nim jest tej czarnej bestii, ile w nim ona zajmuje miejsca, ile w nim przestrzeni życiowej ona sobą opanowała. Zobaczył najpierw, że bestia zajmuje w nim mniej więcej pół głowy. Pochylił się w sobie niżej i zobaczył, że bestia zajmuje w nim nie pół głowy, lecz całą głowę i prawą rękę. Pochylił się w sobie niżej, głębiej i zobaczył, że jego lewa ręka jest lewą ręką bestii, a jego dwie nogi są jej dwiema nogami. Pochylił się w sobie jeszcze niżej, jeszcze najniżej, jeszcze najgłębiej (już nic go nie mogło powstrzymać, już nic go z tej drogi nie mogło zawrócić, już nic nie mogło odwrócić jego uwagi od tego naturalnego, spontanicznego, weselnie śmiertelnego samopoznawania się, od tej samokonstatacji, co była jednocześnie samokontestacją, samonegacją, której towarzyszyła radość niebywała, nigdy dotąd przez niego nie zaznana) i spojrzał w stronę serca, i spojrzał w serce, i zobaczył... że jego serce ... jest jej sercem, serce bestii. Tak to zobaczył, że cały - od stóp do głów, od pięt po czubki włosów, bez reszty, absolutnie bez reszty - jest jedną straszliwą przerażającą czarną bestią. Rakiem. Rak nieskończenie własnym odrażającym widokiem przerażony, porażony tym samym unicestwianiem siebie.

I tu, wydawać by mogło się, kończy się ta historia. Ale oto jeszcze nie kończy się. Bo oto ktoś pada na kolana, płacze najszczerzszymi, szczerzszymi łzami i pragnie być nieskończenie wdzięczny, wznosząc dłonie do dziękczynnej modlitwy. Kto to taki pada na kolana i tak dalej, i tak dalej, wznosząc dłonie do dziękczynnej modlitwy? Rak. To zmartwychwstały rak pada na kolana, płacze szczerzszymi łzami i tak dalej, i tak dalej. Za co chce być nieskończenie wdzięczny? Za to, że został unicestwiony. A przez kogo został unicestwiony? Przez siebie samego przecież. Więc do kogo chce nieskończenie dziękczynnie modlić się? Komu pragnie być nieskończenie wdzięczny? Sobie! Sobie, panowie i damy! Po co to wszystko? Po to, bo tym samym właśnie zmartwychwstaje. Czyż jest genialniejszy sposób na zmartwychwstanie, jak podziękować sobie za to, że siebie zgładziło się? Czyż jest genialniejszy sposób na zmartwychwstanie, jak pogratulować sobie, że uwolniło się siebie od siebie? Nie ma. Ale ta arcygenialna sztuczka, bezbłędna technicznie, odegrana z najwyższą wirtuozerią, niesamowicie przejmująco, wstrząsająco namiętna, zdolna poruszyć, wzruszyć i skruszyć na miazgę najtwardsze serce, zdolna rozmiękczyć i stopić na wosk serce-góralodowa wielkie jak Grenlandia albo Antarktyda - nie uchodzi uwagi spokojnej, bezstronnej, czystej obserwacji. Obserwacja raka widzi tym samym, że rak nie może zostać unicestwiony

raz na zawsze, lecz że musi być unicestwiany (zobaczony, demaskowany, obnażany) w każdej chwili, w której i z którą zmartwychwstaje. Bo nie ma prawdziwego końca to, co nie ma prawdziwego początku. Nie umiera prawdziwie to, co prawdziwie nie urodziło się. Bo gdyby prawdziwie umarło, prawdziwie narodziłoby się do wiecznego, faktycznego, żywego życia. Wtedy raj byłby rakiem. Tego rak nigdy, po wszystkie czasy nie doczeka się.

I tu dopiero kończy się historia człowieka-nikt, historia każdego człowieka-nikt, zanim się człowiekiem-nikt urodził a więc historia człowieka-Ja, każdego człowieka-Ja, a więc historia, która bardzo dobrze może okazać się także twoją historią. Zależy to od ciebie (nigdy za dużo o tym mówić), od twojej uwagi i prawości. Ta historia kończy się zobaczeniem, że ta historia nie ma prawdziwego końca tak, jak nie ma prawdziwego początku. Fabuła, jak sztuczna bańka mydlana, po prostu, całkiem naturalnie rozwiewa się, bo tej fabuły nigdy naprawdę w rzeczywistości nie było; zawsze była-jest-będzie w czasie, czyli w nieistniejącej przeszłości, poza życiem, poza prawdziwym, poza realnym, poza istniejącym, poza wszystkim.

I tu się zaczyna, prawdziwie zaczyna: fabuła rasa. Coś, co można opisywać, ale co zawsze pozostanie tylko opisem, nigdy nie będzie nieopisaną rzeczywistością. Bo nie da się fabrykować literatury z czegoś, co nie jest fabułą, a jest skrzącą się, mieniącą się, wiecznie nową a nieprzemijającą, nieśmiertelnie żywą prawdą i prościutką jak dzień dobry. O prawdzie, do prawdy, za prawdę, wokół prawdy, względem prawdy - nie da się. Prawdą można się stać i prawda może się sama sobie nieskończenie ujawniać. Prawdą można być, życiem można być, aż być. I żyć. To życie, to nieskończenie odkrywające się życie. Nieznane, nieskończenie siebie poznające.

Ludzie-nikt, ludzie-miłość, ludzie-słońca, ludzie-trójki, ludzie-bezdomni (którzy, dlatego że bezdomni, wszędzie gdziekolwiek są, są u siebie w domu) - chodzą po świecie ludzi-Ja i mogą temu światu mówić o istnieniu innego, prawdziwego świata, ale na dobrą sprawę po cóż mieliby o tym mówić, jeżeli dobrze wiedzą, że jeden świat dla drugiego nie istnieje, choć obydwa światy są tutaj i, choć jeden jest w drugim, nie ma przejścia od jednego do drugiego, bo pomiędzy nimi jest nieprzekraczalność. Więc, na dobrą sprawę, dla dobra sprawy, po cóż? Po cóż mówić o zdrowiu ludziom chorym i którzy nigdy prawdziwie zdrowymi nie byli, bo gdyby zdrowymi byli, choćby przez ułamek sekundy, to byłiby odtąd zawsze zdrowi, nigdy nie mogliby na żadną chorobę zapaść? Po cóż mówić ludziom chorym o czymś, o czym nie mogą wiedzieć nic i co ich nie może prawdziwie i raz na zawsze uleczyć, a co może jedynie dawać im nadzieję. Ale ta nadzieja też należy do choroby, jest wręcz jednym z głównych ośrodków przyczynowo-skutkowych tejże choroby. Jest nadzieja wymyślaniem czasu, wymyślaniem przyszłości, która przecież nie istnieje, wszak nigdy przyszłości tej nie ma, nigdy nie zjawia się tu i teraz, zawsze, jak widmo, majaczy gdzieś tam. Gdzie? W przyszłości! Przyszłość jest w przyszłości, bo gdzie indziej może być? A ta przyszłość, czym jest? Projekcją przeszłości. Czymże innym mogłaby być?

Jest nadzieja, że się tak wyrazi się, beznadziejnym uciekaniem od tego, co jest tu i teraz, czyli uciekaniem od jedyne go stanu rzeczy, który naprawdę istnieje, jedyne go i najwyższego stanu rzeczy, w którym można żyć i żyć zdrowo. Nadzieja jeszcze nigdy nikogo prawdziwie nie uleczyła i nie uleczy, bo nie może uleczyć. Tylko w tu-i-teraz da się być zdrowym. Nadzieja zatem jako czasowość, jako nie tu-i-terazowość, nie może być zdrowa.



Nadzieja, lansując swoje serpentyny, swoje confetti, projektując przyszłe „wyzdrowienie” przedłuża tym samym chorobę, rozprzestrzeniając ją, rozciągając w przestrzeni i w czasie, w trwaniu - utrwala ją. To przecież oczywiste I oczywiście tak też mówią o nadziei ludzie-nikt, ludzie-tu-i-teraz, ludzie-zdrowie dodając, że może ona, nadzieja, służyć do jednej jedynej rzeczy: jako wyśmienity przykład na to, jak puste są słowa.

Co może chorych uleczyć? Każde mówienie o zdrowiu musi być dla chorych literaturą, wymysłem, bajką, bo gdyby nie było dla nich bajką, to byłoby rzeczywistością, a więc byłiby to ludzie zdrowi, a nie chorzy. A zdrowi nie potrzebują bajek. Zdrowi żyją w zdrowiu, żyją w życiu, są życiem, a życie jest cudem nad cudami, gdyż jest niemożliwe, a oto jest faktem nie do zanegowania.

Co zatem może chorych uleczyć? Chorych może uleczyć tylko jedynie wyłącznie ich własna choroba, ich własna tocząca ich choroba, ich własna tocząca ich fałszywa choroba, nieprawdziwa (bo gdyby była prawdziwa, byłaby nieuleczalna), którą niektórzy chorzy - oślepieni wielką rozpaczą - nazywają chorobą życia, a co z życiem nie ma absolutnie nic wspólnego. Dlatego też ludzie-nikt przede wszystkim o chorobie mówią ludziom-chorym, ludziom-Ja, choć ludziom-Ja to bardzo nie podoba się, bardzo mocno ich to drażni, złości, wpadają w gniew, dostają furii, zdolni są w tej furii do wszystkiego, mogą wtedy zamordować danego człowieka-nikt, który mówi im, jak z piekła wydostać się; to już w czasie zdarzyło się, zamordowano jednego człowieka-nikt, ale możnaż zamordować człowieka-nikt? możnaż zamordować wieczne życie?

Mówią ludzie-nikt ludziom-Ja o tym, co owi chorzy mogą pojąć, co mogą namacać, uchwycić, wziąć w garść, wziąć się w garść; mówią ludziom chorym o toczącym ich raku (nie o tym, którego tak określa medycyna i którego cała groza znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy się zobaczy, czym jest ten rak psychiczny, o którym cały czas jest mowa), o tym jakie ma macki, jak jadowite i jak te rozliczne macki funkcjonują, i gdzie jest ich centrala, dyspozytornia, gniazdo wylotowe, samo jądro głuchych ciemności.

O tym wszystkim mówią ludzie-nikt Mogą o tym mówić jak żaden poza nimi człowiek. Bo oni to wszystko rozumieją, oni są już zdrowi, oni już przez to wszystko przeszli. Raka - całego, w całej jego straszliwej, psychicznej okazałości - w sobie odkryli, odczytali, zdemaskowali. I raka unicestwili, wymazali. Siebie wymazali. Tym, że siebie zobaczyli. I - absolutnie niechcąc - urodzili się w czymś absolutnie niespodziewanym: w prawdziwym życiu, w zdrowiu. O tym zdrowiu nie mogli przedtem nic wiedzieć, nie mogli o nim myśleć, wyobrażać je sobie, modlić się doń, mieć nadzieję, wierzyć, marzyć i tak dalej, i temu podobne. O tym zdrowiu nie mogli nic. Bo absolutnie nic nie wiedzieli, że coś takiego istnieje. Nie mogli absolutnie nic o tym zdrowiu wiedzieć, bo byli chorzy, wszystko w nich było chore, wszystkie myśli i uczucia, rozum psychiki i serce psychiki, cała psychika była chora na samą siebie, na chorobę, którą można nazwać: Ja, Jaźń, Ego, SuperEgo, AlterEgo, Ktoś, Demon, Anioł, Bóg, Dabeł, Słowo i temu podobne. I ta choroba nie mogła absolutnie nic wiedzieć o zdrowiu, co się zaczyna poza nazwą: nikt, nic, zero, pustka, cisza. Zdrowie przyszło samo, kiedy rozwiała się choroba, to znaczy kiedy czysta obserwacja zobaczyła, że cała ta choroba, od jej bezpoczątku do jej bezkońca, była brudna, fałszywa, całkowicie wymyślona przez samą siebie, że cała ta choroba była tylko nazwiskiem, podpisem na

papierze, wizytówką na drzwiach, inicjałami na sygnecie, imieniem na kartce kalendarza, próżnym słowem, suchą sylabą, martwą literą i niczym więcej.

Ludzie-nikt chodzą po ziemi i powiadają takim, jak ty, każdemu bez wyjątku, kto tylko ma uszy ku słuchaniu, w głowie szpilkę, a na sercu kamień to, co rozumieją. Bo rozumieją, że nie ma wybrańców losu w świecie absolutnej równości, absolutnej sprawiedliwości, jakim jest życie. Rozumieją, że nie do zranienia zdrowie, nie do uwięzienia wolność, nie do opisania piękno, szczęście, żywa nieśmiertelność - nie są tylko dla nich, lecz dla wszystkich.

**BO WSZYSTKO JEST DLA WSZYSTKICH**



Najdobitniej, jak to możliwe, i najprościej, najjaśniej: się omroczyło mrok, się negatywnie objaśniło głuchość ciemności, się wytłumaczyło tak zwane niewytłumaczalne. Oczywiście niczyja to zasługa. Ludzie-nikt mamy nazwiska, ale ono nas nie przesłania, bo przesłonić nie może; żadne nazwisko, żadna nazwa nie ogarnia tej niewyczerpalnej całości, którą jesteśmy. Nic nie musimy, wszystko możemy. Możemy, ale nie musimy się przedstawiać.

Się nie wie jak długo, ile jeszcze czasu pozostawać będziesz w swoim piekle mniej lub więcej luksusowym: kilka dni, kilka miesięcy, dwadzieścia lat, sto lat, tysiąc lat, sto tysięcy, sto milionów? Się nie wie. Zależy to od uwagi i prawości, bez których twoje piekło może pieklić się bez końca, bez zbawionego końca, który jest początkiem prawdziwie żywej nieskończoności.

Się wie, że się spotkamy. U "końca" twojego czasu. Wszyscy się spotkamy u "końca" wszystkich czasów.

Na bezgranicznej, niepowtarzalnej i nieprzemijalnej, nieśmiertelnie żywej łące życia.

Dokładnie tu, dokładnie teraz.

Skan wykonał... Grzesiek - człowiek-Ja